



KTO BĘDZIE MISTRZEM ŚWIATA?

Mistrzostwa piłkarskie świata, które obfitowały w liczne niespodzianki, zbliżają się ku końcowi. Wkrótce przekonamy się, która z drużyn zdobędzie tytuł „najlepszych piłkarzy kuli ziemskiej”. Na zdjęciu gorący moment z meczu Anglia-Szwajcaria (2:0)

Fot. Keystone



PROJEKT KONSTYTUCJI CHIŃSKIEJ REPUBLIKI LUDOWEJ

Przewodniczący Centralnego Rządu Chińskiej Republiki Ludowej Mao Tse-tung otwiera historyczną sesję Centralnej Ludowej Rady Rządowej w dniu 14 czerwca br., na której jednomyślnie uchwalono „Projekt Konstytucji Chińskiej Republiki Ludowej”. W prezydium zasiadają (od lewej): Lin Po-chu, Soong Ching-ling, Chu Teh, Mao Tse-tung, Liu Shao-chi, Li Chi-shen i Chang Lan. Rezolucja podjęta na tej trzydziestej sesji Centralnej Ludowej Rady Rządowej postanawia też, że w całych Chinach ma odbyć się ogólnonarodowa dyskusja nad projektem konstytucji. Dalsze doniesienia z Chin podają, że w miastach i wsiach powstają kursy dla prelegentów, którzy organizować będą dyskusję nad projektem tego najdonioślejszego dokumentu w dziejach chińskiego narodu.

Hsinhua

UPRAWA CHMIELU



Nim w upalny dzień ochłodzimy się kuflem piwa — trzeba starannie walczyć ze szkodnikami chmielu. Robotnicy PGR Błonie Krośniewickie spryskują plantację

CAF

Z PIEŚNIĄ PO POLSCE



Miasta nasze objędzą przybyli na gościnne występy do Polski radziecki zespół Moisiejewa. Występy tego słynnego zespołu przyjmowane są entuzjastycznie

CAF

WĘGRZY ATAKUJĄ

Na próżno czterej zachodnio-niemieccy obrońcy wytyżają swe siły! Za chwilę Węgry Kosics ułokuje jeszcze jednego gola w bramce przeciwników, których piłkarze węgierscy pokonali w stosunku 8:3 podczas rozgrywek piłkarskich mistrzostw świata w Bazyli. Wkrótce potem w Bernie Węgrzy spotkali się z reprezentacją Brazylii, która uległa świetnej drużynie węgierskiej 2:4. Porażka ta nie przypadła do gustu kibicom drużyny brazylijskiej, którzy po meczu rzucili się z pięściami na zawodników węgierskich.



Keystone

CEGIELNIA



W Zielonce koło Warszawy pracuje cegielnia „Gigant”, dostarczająca

RĘCE PRECZ OD GWATEMALI!

„Śmierć dla United Fruit Company!” — wzywa transparent (po prawej) niesiony przez demonstrantów ulicami stolicy Meksyku. Napaść na Gwatemalę, zorganizowana i kierowana przez koła rządzące USA, dokonana została z terytorium sąsiednich republik Ameryki Łacińskiej — Hondurasu i Nikaragui. Wojska napastnicze składają się z renegatów gwatemalskich oraz najemników zwerbowanych w innych krajach. Po wprowadzeniu przez rząd Gwatemali szeregu reform demokratycznych, amerykański koncern pozbawiony został możliwości dalszego grabienia kraju. Wielkim udziałowcem „United Fruit Company” jest sekretarz Stanu USA — Dulles — i wiele innych czołowych osobistości USA.

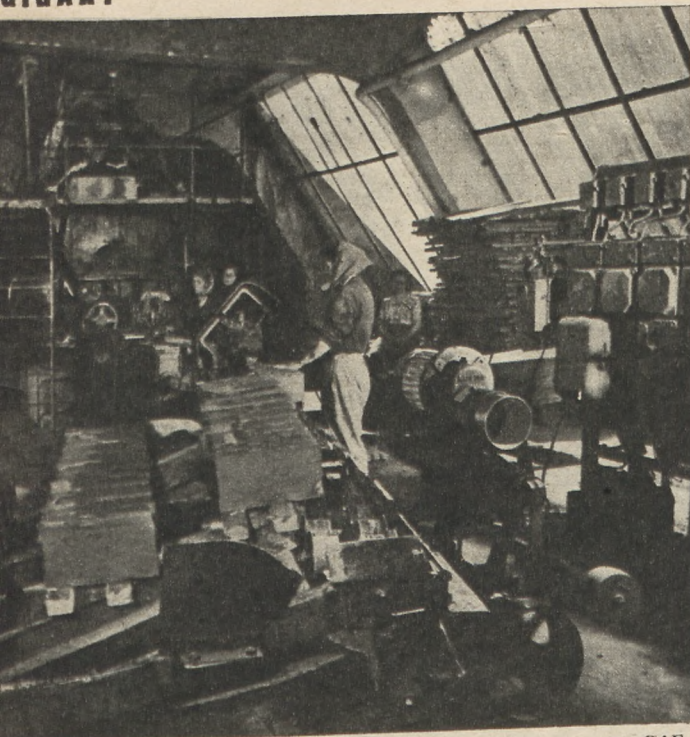
NOWY PREMIER FRANCJI



Po wyborze na premiera Mendes-France wraz z małżonką pozuje fotografom w swym paryskim mieszkaniu

Keystone

GIGANT



CAF

„warszawskiemu zagłębiu budowlanemu” wielkich ilości wyrabianej mechanicznie doskonałej cegły



AP



Dziekan wydziału Architektury Uniwersytetu w Nankinie, Yang Ting-pao

200 ARCHITEKTÓW Z 26 KRAJÓW



Radca francuskiego Ministerstwa Budownictwa — Paul Herbe

W IEMY, że wciąż wzrastające zbrojenia sprawiają, iż dla wytworzenia broni masowego zniszczenia wykorzystuje się olbrzymią ilość środków technicznych, finansowych i naukowych, które użyte dla celów pokojowych przyczyniłyby się do szybkiego zapewnienia ludziom możliwości lepszego życia w bezpieczeństwie. Wiemy, że taka działalność prowadzi do wynajdywania coraz potężniejszych broni masowego zniszczenia, których zakazu żądamy“.

Takim wnioskiem zakończyła się 10-dniowa narada dwustu architektów i działaczy samorządowych 26 krajów Europy, Azji, Ameryki Łacińskiej.

Myśl zorganizowania narady zrodziła się dwa lata temu, wówczas, gdy liczna grupa architektów różnych krajów, zaproszona na otwarcie Placu Konstytucji w Warszawie, zainteresowała się naszymi osiągnięciami architektonicznymi.

Swobodna wymiana poglądów i doświadczeń na trzy zasadnicze problemy współczesnego budownictwa: odbudowy miast zniszczonych przez wojnę, rekonstrukcji i przebudowy miast istniejących, oraz budowy nowych miast — oto cel międzynarodowego spotkania.

Ale nie tylko problemy zawodowe nurtowały architektów, szczególnie państw kapitalistycznych.

— Posiadamy co prawda piękne plany — powiedział architekt argentyński, J. Binstock — ale pozostają one na papierze. Tutaj, w Polsce, zobaczyliśmy w jaki sposób plany stają się rzeczywistością.

— Szczęśliwi muszą być urbanisci — zauważył Duńczyk, R. E. Skriver — którzy mogą opierać swą pracę na realnych planach inwestycyjnych. Niewątpliwie my, cudzoziemcy, mamy czego zazdrościć naszym polskim kolegom.

A znany architekt francuski prof. G. Lagneau dodał:

— Niedostatecznie znaliśmy dotychczas treść waszych wysiłków. Dziś zrobiliśmy duży krok naprzód na drodze wzajemnego poznania.

Wiele czasu poświęcono w dyskusji Warszawie, Nowej Hucie i innym miastom polskim. Oceniono naszą urbanistykę jako wielką szkołę budownictwa, w której wiele mogą nauczyć się architekci całego świata. Podziwiano pietyzm z jakim odbudowujemy i odtwarzamy zabytki naszej kultury.

Piękne było wystąpienie przedstawicieli Indii, pani Gumi Dallas, która podkreśliła konieczność współpracy wszystkich dziedzin sztuki dla stworzenia prawdziwie wiekopomnych dzieł. Pani Dallas, artystka-malarka, zwróciła szczególną uwagę na powiązanie rzemiosł artystycznych w odbudowanych fragmentach zabytków Gdańska i Warszawy. — Zwiedzenie Polski — powiedziała pani Dallas — potwierdziło moje przekonanie, że architekci muszą brać czynny udział w walce o pokój, jaką toczą narody świata, tylko bowiem ludzie budujący dla pokoju mogą tworzyć takie miasta, jakim jest Warszawa.

— My architekci i budowniczowie — podkreślił w swym przemówieniu Paul Herbe, radca francuskiego Ministerstwa Budownictwa — ku wielkiej naszej rozpaczy byliśmy podczas wojny świadkami zburzenia zarówno dzieł nowocześniejszych, które wymagały od nas tyle wysiłku i miłości, jak i starych dzieł sztuki, które były dumą i świadectwem kultury naszych krajów z minionych lat. I oto grożą nam bombą wodorową, która tym razem zniszczyłaby nie tylko miasta, ale i całe pałacie

kraju. My, twórcy wartości istotnie pokojowych, odrzucamy ze zgrozą jej użycie.

26 czerwca zakończyła się 10-dniowa narada architektów, działaczy samorządowych i zainteresowanych problemami urbanistyki i architektury. Uczestnicy jej przed odjazdem do swych krajów, do swych warsztatów pracy, przyjęli jednogłośnie rezolucję, w której zapewniają:

„Przyrzekamy sobie wzajemnie, że wszystkimi sposobami i pod różnymi postaciami będziemy starali się organizować spotkania, dyskusje, wymianę poglądów nie tylko pomiędzy ludźmi tych samych zawodów, lecz również pomiędzy przedstawicielami innych zawodów, interesującymi się tymi samymi problemami, że będziemy nawiązywać przyjazne stosunki, aby, jak tego dowiedliśmy w naszej dziedzinie, zapanowała atmosfera wzajemnego zaufania, zrozumienia i poszanowania, sprzyjająca przyjaznemu i pozytywnemu rozwiązaniu problemów, dotyczących stosunków pomiędzy ludźmi i pomiędzy krajami bez względu na ich systemy ekonomiczne i polityczne“.



W Gdańsku, tak jak i Warszawie, największe uznanie architektów wzbudziły zrekonstruowane zabytki

SWIAT NASZA KRONIKA

WŁASNIE upływa dwudziesta rocznica śmierci wielkiej uczonej — Polki. 4 lipca 1934 roku umarła Maria Skłodowska-Curie. Przyczyną długotrwałej choroby i śmierci było wieloletnie działanie ciał promieniotwórczych, które odkryła wraz ze swym mężem — Piotrem Curie — i które badała nadal i po jego tragicznym zgonie. To, co odkryła dla dobra ludzkości, co stać się miało dla wielu źródłem życia i ocalenia, dla niej było przyczyną śmierci. Był to los niejednego uczonego, nie cofającego się, jak żołnierz w bitwie, przed żadnym niebezpieczeństwem.

Dzieje nauki wysoko oceniają prace małżonków Curie w dziedzinie promieniotwórczości, odkrycie przez nich polonu i radu. Dzieje nauki wysoko oceniają pracę Marii Curie, wierną ideom naukowym męża. Ale spośród wielu świetnych nazwisk uczonych przeszłości i naszych czasów, nazwisko Marii Curie świeci blaskiem wyjątkowym — i to nie tylko dla nas Polaków, dla których stanowi ona piękne ogniwo łańcucha takich imion uczonych polskich, jak Kopernik, Śniadecki, Lelewel, Łukasiewicz i inni. U źródeł niezwyklej sławy Marii Skłodowskiej — Curie leżą nie tylko jej wiekopomne odkrycia i prace naukowe. U źródeł tej sławy leży postawa moralna, stanowiąca niezwykle cenny wzór życia i pracy nie tylko naukowca, ale i człowieka nowoczesnego w ogólności. Szlachetne dążenie ludzi do osiągnięcia wysokiej postawy moralnej uczyniło z Marii Curie ich ideał.

Ta postawa moralna obojga małżonków Curie, małżeństwa Polki i Francuza, wyraża się zarówno w stosunku do zadań nauki, do własnych w tej dziedzinie zdobyczy, jak i w stosunku do własnych społeczeństw. Ta postawa moralna nie ogranicza się do murów laboratoriów i uniwersytetów, ale staje się postawą polityczną, gdy ogarnia całość stosunków międzyludzkich, gdy śmiało wypowiada się w zakresie stosunków między narodami, gdy śmiało staje po stronie ludów, innym uczonym wskazując, gdzie jest ich miejsce.

BYZNESMENI amerykańscy pokpiwali z małżonków Curie, którzy nie zgodzili się na opatentowanie swych odkryć naukowych. Nie zgodzili się oni na to nigdy, mimo swych trudnych warunków życiowych, swojej nieraz nędzy, swych bardzo złych warunków pracy naukowej. Państwo Curie, oboje, a potem Maria Curie sama — zawsze uważali, że zdobycze nauki należą do narodu, do całej ludzkości. Państwo Curie nie żyli wśród złudzeń. Wiedzieli oni o siłach zła i wojny, działających we współczesnym świecie. Niemniej nie rezygnowali nigdy z wiary w zwycięstwo ludzkości nad jej wrogami.

W jednym ze swych przemówień, w tym z czerwca 1905 roku, Piotr Curie, w imieniu własnym i swojej żony powiedział między innymi:

„Można obawiać się także, iż rad w rękach zbrodniczych stanie się narzędziem bardzo niebezpiecznym i — w związku z tym — zastanawiać się, czy poznawanie tajemników natury przynosi pożytek ludzkości — czy dojrzała ona do tego, by z nich korzystać, czy też, przeciwnie, ta wiedza jest dla niej

szkodliwa... Jestem jednym z tych, którzy... sądzą, iż ludzkość więcej dobra niż zła wyciągnie z nowych odkryć“

Tocząca się współcześnie walka o pokojowe zastosowanie energii atomowej — to właśnie ta sama walka, której zwycięstwo zapowiedzieli państwo Curie. Nie byli oni czynnymi działaczami społecznymi czy też politycznymi: byli dwojgiem kochających się wzajemnie ludzi, poświęconych całkowicie swojej pracy. Niemniej życie stawiało przed nimi niejednokrotnie konieczność zajmowania stanowiska w sprawach politycznych, gdyż chcieli być w owym świecie kapitalistycznych interesów ludźmi uczciwymi.

Maria Curie szczególną troską otaczała młodych naukowców, wzrastających pod jej opieką. Walczyła w miarę swych sił z ograniczeniami w dziedzinie nauki, z ograniczeniami, wyrażającymi się nie tylko w niskich sumach budżetów państwowych, przeznaczonych na badania naukowe, ale także i w polityce zamykającej dostęp do wiedzy szerokim masom ludowym. W sprawie tej Maria Curie pisze w latach dwudziestych te pamiętne słowa:

„Na czymże polega interes społeczny, jeśli nie na popieraniu rozwoju zdolności i zamiłowań naukowych? Czy jesteśmy tak bogaci, że nam wolno je poświęcać? Sądzę raczej, że połączenie cech, składających się na prawdziwe powołanie naukowe, jest czymś niezwykle cennym i kruchym, i że głupotą i zbrodnią jest pozwalać marnować się tym rzadkim skarbom, nad którymi trzeba czuwać najtroskliwiej, aby im dać wszelkie możliwości rozwoju...“

WIELE okoliczności złożyło się na fakt niezwyklej popularności imienia Marii Skłodowskiej-Curie. Do elementów jej zasłużonej sławy należy niewątpliwie fakt, iż wyrosła ona z naszego narodu, stała się wielką uczoną Francji, nigdy nie przestając być Polką, nigdy nie wyrzekając się miłości do swego narodu. Ludzkość kocha tych, którzy życiem swym umieją dowieść, że nie ma żadnej sprzeczności między ukochaniem swego narodu i ukochaniem ludzkości.

Imię Marii Skłodowskiej-Curie otoczono już za życia wielką chwałą. Niemalą rolę w tej sławie odegrał i odgrywa fakt, iż tak wielkie odkrycia i zdobycze naukowe związane były z imieniem kobiety. Ta wielka uczona dowiodła, że męski „rasizm“, że rzekomo naukowe dowody o „naturalnej“ niższości kobiet są jednym z nonsensów starego świata. Była żoną, matką, czarującą i piękną kobietą i jednocześnie, nie wyrzekając się żadnej ze swych cech kobiecych — jednym z największych uczonych swojej epoki.

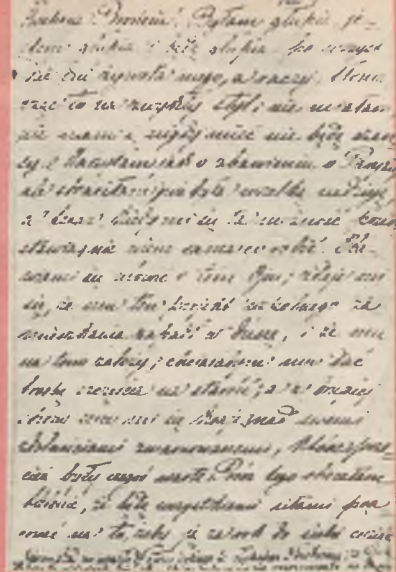
Pewno powie ktoś — to fenomen. Nie tylko fenomen: to wskazanie drogi pracy i rozwoju i możliwości dla kobiet.

Była Maria Curie prostym człowiekiem, kochającym dzieci i pokój. Ta prostota życia połączona z wielkością jej osiągnięć, które są skarbem nauki i całej ludzkości, czyni z Marii Curie tak wyjątkową postać, tak bliską nade wszystkim naszemu narodowi, który ma wszelkie prawa, by być z niej dumny.

JAN SZELAĞ



Maria Skłodowska (na zdjęciu z lewej) ze swą siostrą Bronią w r. 1886 w Warszawie



List Marii Skłodowskiej pisany w r. 1890 przed wyjazdem na studia

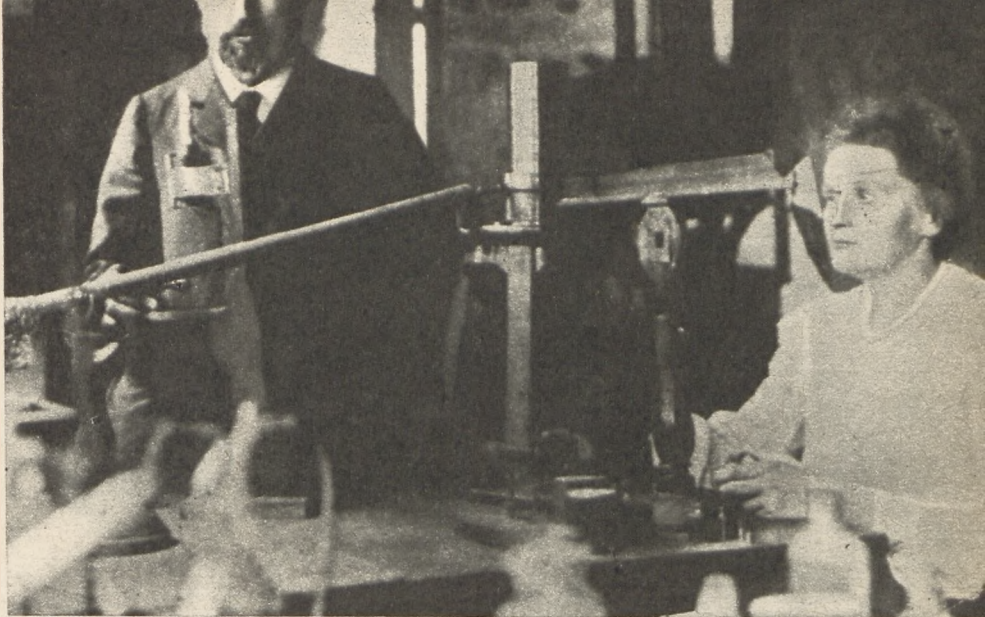


Wielka uczona, nagrodzona już dwukrotnie Nagrodą Nobla, w swej paryskiej pracowni. Zdjęcie dokonane w roku 1913, przed wybuchem pierwszej wojny światowej



Maria Skłodowska-Curie w czasie pierwszej wojny światowej za kierownicą ówczesnej karetki sanitarnej. Nie prowadzi ona oczywiście samochodu. Jest to zdjęcie pa-

M A R I A SKŁODOWSKA C U R I E 1867 — 1934



Maria Skłodowska-Curie z mężem, Piotrem Curie, w laboratorium paryskim, gdzie, po długich i żmudnych doświadczeniach, w r. 1898 odkryli oni rad



W roku 1908, w dwa lata po tragicznej śmierci męża, z córkami Ewą i Ireną



W Stanach w roku 1921, witana serdecznie przez profesorów oraz młodzież uniwersytecką

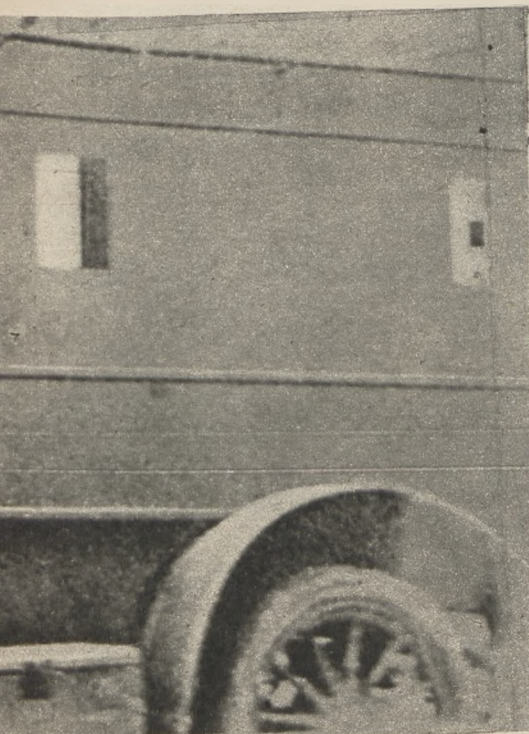


Bracia Jacques i Pierre Curie z rodzicami w latach 80-tych ub. stulecia



Wycieczka rowerowa do Sceaux — rodzinnego miasteczka męża

Oddaną sprawie pomocnicą Skłodowskiej-Curie była zawsze córka jej Irena, obecna żona Fryderyka Joliot-Curie, naukowca i bojownika o pokój



miątkowe, ponieważ karetki te nazywano wówczas we Francji „małymi Curie



Marię Curie łączyła serdeczna znajomość z Einsteinem, największym uczonym Ameryki



CICHA WIEŚ

na brzegu mławskim

RYS.: ADAM PERZYK



TEGO WIECZORU na stacji Czarny Bór wysiadło tylko dwoje podróżnych. Pociąg ruszył niemal natychmiast zgrzytając i brzęcząc, oddalał się po perspektywnym rysunku szyn i wkrótce widać już było tylko czerwoną latarnię lśniąca na ostatnim wagonie, wsiadającą w mrok pomiędzy dwiema ciemnymi ścianami lasu. Pachniało tu żywicą tak mocno, jakby całe powietrze i mgła wieczorna, i nawet głęboka cisza panująca w Czarnym Borze przepełnione były na wskroś balsamem puszczy. Maria Kotarba westchnęła głęboko, pozbywając się od razu dotychczasowego znużenia; poprawiła kapelusz przekrzywiony w czasie wysiadania, poszukała w kieszeni biletu i skierowała się do wyjścia, nie zwracając uwagi na drugiego pasażera, idącego za nią w pewnej odległości. Już stąd, z peronu widać było srebrną smugę, leżącą tuż za stacją. Nie była pewna, czy to jezioro lśni tak w dole, czy gesta mgła nad łąkami stworzyła złudzenie lustra wód. Obejrzała się szukając po niebie księżycy i wtedy nagle zawiadnęła ją zdumienie i strach; człowiek idący za nią wchodził w krąg światła latarni, z mroku wyjrzały jego rysy powleczone bladłością, nijakie, lecz Maria nie mogła się mylić: poznała go. Był to Helmut Zak. On jeden mógł mieć tak uchylone usta w pogardliwym skrzywieniu, on jeden pokazywał przy tym dolne zęby, drobne i luźno rozstawione, on miał tak rude włosy pod zielonym kapeluszem. Obejrzała się raz jeszcze, lecz dostrzegła tylko sylwetkę w białym płaszczu znikającą już, zatartą wieczornym cieniem. Postąpiła na przód, patrzyła za nim, jak szedł szybkimi krokami, przygarbiony, z podniesionym kołnierzem, z rondem kapelusza nasadzonym głęboko na oczy. Strach ustąpił. Ogarnął ją gniew. Mijała domostwa pachnące wieczorzą, psy biegły do bram z ujadaniem i później wracały w mrok. Domyśliła się, że Zak poszedł inną drogą, bo w prawo na kolonii słychać było zajadły jazgot psów. Ledwie otworzyła furtkę w zagrodzie Baltazara Gołębia, gospodarz ukazał się w oknie, krzyknął na psy i wybiegł na ganek. Był jej rówieśnikiem, kolegą ze szkolnej ławy, przyjaźnili się ze sobą od wielu lat.

Przyglądał się żywym oczom Kotarby i włosom białawym, puszystym, jak przekwitły mlecz. Ona zatrzymała się w sieni mówiąc półgłosem, jakby znowu wracał lek:

— Widziałam Helmuta Zaka.

— Tego?

Skinęła głową. Baltazarowi drgnęły brwi, rozjaśnił się jednak od razu.

— Niemożliwe. Musiało ci się, Marysiu, przywidzieć.

— Poznałam go. Był tak blisko, jak ty jesteś w tej chwili.

— Niemożliwe. Helmut niejedno życie ma na swoim sumieniu... On nie mógł tu być. On... słyszałam, że uciekł do zachodnich Niemiec. Będzie ze trzy kwartały. Przysłał ojcu list z Monachium.

Kotarba zamyśliła się i po chwili mówiła cicho:

— W duchy nie wierzę. Nie mógł to być upiór. Chyba on sam był. Albo ja na starość przywidzenia jakie miewam.

Weszli do izby, gdzie w cieple i w blasku światła samej Kotarbie spotkanie takie wydało się nieprawdopodobieństwem. Odetchnęła. Skoro Zak jest w zachodnich Niemczech, skoro stamtąd pisał, to nie mógł tu być. Skądże? Słuchała słów Baltazara, lecz myśli same wracały do dawnych spraw. Dziesięć lat minęło, kiedy za oknem jej domku w rodzinnym Brunswaldzie wychyliła się z mroku biała twarz Helmuta Zaka, twarz gładko wygolona, pozbawiona na pierwszy rzut oka jakichkolwiek cech pozwalających ją zapamiętać, a jednak Maria wiedziała, że te rysy na całe życie wtapiają się w jej pamięć. Bo jakże! Za jej oknem stanął wtedy zdrajca. Był to rok tysięcy dziewięćset czterdziesty drugi, młody Helmut, syn burmistrza, nosił brunatną koszulę, swastykę na ramieniu, a na pasie od spodni znak trupiej czaszki i skrzyżowanych piszczeli. Wskazał Marię żandarmom:

— To ta. W nauczycielkę się bawi. Polskiej mowy uczy. Sama wiersze składa. O Polsce wszystkie.

Fragment opowiadania

Tak mówił Helmut Zak, podczas gdy Maria wyprosiła się i czekała milcząc.

— A ty skąd o tym wiesz? — zapytała, gdy skończył.

Wtedy Helmut skrzywił usta pogardliwym grymasem, ukazując nie tylko dolne, ale i górne, rzadko rozstawione zęby.

— Skąd wiem? Sam tej głupiej nauki dawniej słuchałem.

— Ale na zdrajcę to już nie ja cię wyuczyłam.

Od dawna była gotowa na tę chwilę. Znała swój los. Uczyla wiejskie dzieci, opowiadała legendy i baśnie o kraju leżącym na południu, za lasami, nazywając go rodzinnym krajem. Od dawna wiedziała, że za samą tylko mowę polską traci się tu spokój, pracę, chleb i dach nad głową; lecz to, co w jej młodości zdawało się szczytem prześladowań, po dojściu Hitlera do władzy znalazło sobie nową postać: za używanie polskiej mowy traciło się teraz wolność i życie. Maria, kiedy ją wprowadzano, raz tylko spojrzała na Helmuta i młody hitlerowiec odwrócił wzrok.

— Czy bym się mogła mylić? — szepnęła patrząc teraz na siwe włosy Baltazara, spiętrzone pianą nad opalonym, ciemnym obliczem. Było jej się trudno skupić i słuchać. A Baltazar opowiadał takie ciekawe rzeczy: i po to przyjechała tu od siebie, żeby z jego

by grubsza gra. Ty rozumiesz? Miesiąc temu Monachium, a dziś Mazury, Czarny Bór... Może i powinnaś. Zeklną, to zeklną.

Maria Kotarba skinęła ruchem powiek.

Długo toczyły się rozmowy w domu Gołębia, głęboko w majowy wieczór, głęboko w noc. Światło z okna padało na czarną powierzchnię jeziora tworząc migotliwy, drgający w miarę falowania wody srebrny pas. Ziemię, puszcę, cały Czarny Bór ogarnął spokój. Ludzie zasnęli w domach z poczuciem bezpieczeństwa i przytulności.

W pewnej chwili chlusnęła jeszcze jedna smuga światła z rozwartych drzwi, błyskiem ostrym przecięła jezioro i zgasła. Helmut Zak wyszedł za próg domu Kłausa i zmierzał na brzeg. Erwin Klaus szedł za nim. Był to chłopak tak dalece nawykły do pośpiechu i posłuchu, że w gorliwości zamiast iść, biegł drobnym truchtem. Pochylił się, ramiona jego, zawsze gotowe coś dźwigać, podnosić, zwiślały z przodu kołysząc się w miarę poruszeń, jakby były parą cepów.

— Więc ty tu przeważaj — mówił Helmut — u kogo jest Kotarbową. I czy mnie poznała.

Erwin przyspieszył kroku.

— Swoją drogą — zaczął — dziwię się tamtym facetom. Koleją cię puścili? Zwariowali! Mają jeziora i każą takiemu człowiekowi jak ty kolejami się tłuc? No, no...

— Sam chciałem — uciął Helmut. — Nie ma ryzyka.

— No a ta Kotarba?

— Nic mi nie zrobi.

Mogła poznać, mogła nie poznać. Nie wiem. Ciemno było. Jeżeli poznała, to nie ja powinienem się bać. Raczej ona.

Zeszli na brzeg. Erwin czuł, jak po łydkach bije go strącona z trawy rosa. Wszedł do wody, podciągnął bliżej łódkę, żeby Helmut mógł zająć miejsce bez moczenia butów. Odnalazł wiosła schowane w krzakach leszczyny, umieścił je w dulkach, usiadł, zaparł się mocno stopami o dno łodzi, zapytał:

— Możemy?

Czuł podziw dla Helmuta, połączony z lekką niechęcią i strachem. Długo był coraz bardziej groźny, wymagał rzeczy trudnych i ryzykownych, a wycofać się? Nie, teraz już nie można się było wycofać.

— Wiosłuj — odpowiedział Helmut.

Płynęli szybko i cicho w zupełnym milczeniu, dopiero kiedy się znaleźli daleko od brzegu, Helmut zaczął:

— A co do Hardtmana, jasna rzecz. Trzeba uważać. On się jakiś hardy zrobił, diabli go wiedzą, co może myśleć. Podły pies! On nie rozumie, że jak już całą robotę oparłem o Berlin, o nowy Wehrmacht, o Amerykanów, to najtrudniejsze mamy za sobą.

— No, ja! — przytaknął Erwin starając się, żeby jego głos tchnął zapalem.

— Wymagam od was dużo. Możliwe. Ode mnie wymagają więcej. Cztery razy przelałem granicę — do Berlina i z powrotem — sam powiedz, to coś jest.

— No, ja, Klaaar! — ostatnie słowo Erwin przeciągnął tonem bezspornej pochwały.

— I teraz będę coraz częściej kursował między wami a Berlinem. Robotą ruszy. Pieniądze są, dostałem, z



własnych ust słyszeć, jak tam było w Warszawie na zebraniu w Radzie Państwa, i co też mówił Bolesław Bierut, i żeby jej Baltazar wszystko po kolei, godzina po godzinie opowiedział.

— A może by jednak zameldować? — powiedziała i dopiero w tej chwili uświadomiła sobie, że Baltazar umilkł w pół słowa. — Przepraszam, przerwałam ci... Ale mi ten człowiek myśli zmacił. Więc... więc może by jednak ostrzec władze, jak sądzisz?

Baltazar rzucił fajkę na stół, dłonie zacisnął na ramionach Kotarby i patrzył może na nią, a może na jakąś swoją myśl. Wyglądał teraz, jak mały chłopiec olśniony pomysłem, rozwiązaniem trudnego zadania czy rebusu.

— Marysiu — dmuchnął całą siłą spomiędzy wąsów — oni cię zeklną, jeżeli na próżno ich pogonisz. Ale gdyby to nie miało być przywidzenie... no! To szła-

tym się nie musicie liczyć. Do czasu będziecie na pozór cicho siedzieć. Tak jak mówiłem. Robić robotę na miejscu. Pamiętaj Erwin o jednym drobiazgu: nie odgruzowywać! Nawet sobie nie zdajesz sprawy, jakie to ważne. Mówiliśmy o tym w Berlinie. Ile rzeczy można w gruzach ukryć.

— Ba... Rzeczy... Broń. A nawet i ludzi... — wtrącił Erwin.

— To raz. Oprócz tego, póki stoi gruz, łatwo wmówić ludziom, że Polska nie dba o Warmię i Mazury. Budowa? Rozkwit? A dokąd gruzy, kury w gruzach grzebią, drzewa wyrastają wewnątrz spalonych domów. Można też opowiadać, że jak Adenauer wygra, każdy Niemiec trafi na swoje podwórko, póki wszędzie gruz.

— Racja! Racja! Du hast Recht!

— I jeszcze jedno. W Berlinie, widzisz, przechodziłem szkolenie. To było w wywiadzie amerykańskim. Tam uczyli, że trzeba wszystko psychologicznie. Te gruzy to tak, jak trupy miast. W tych gruzach człowiekowi łatwo popaść w chorobę woli. Więc niech popadają. Niech ich pochłania pijaństwo. Niech osiedlenie zapomni, że istnieje radość, że można żyć jakimś wspólnym wysiłkiem. Niech tu gnije.

— Mensch, du bist aber!... — zaśpiewał Erwin tonem pełnym zachwyty.

Podziwiał Helmuta. Byli sobie równi, jak dwaj kumple. Żadnych różnic. Od kiedy zaczęła się robota dywersyjna, tak się z sobą zrównali jak brat z bratem. Któż by tam pamiętał dawne wyrzekania ojca, starego Klausa, co u Helmutowych rodziców był wyrobnikiem. Kiedyś Żakowie zarwali wypłatę staremu Klausowi, zaparli mu jego należność. Skrzywdzili srodze tym postępkiem, bo matka chorowała i umarła wtedy, nie było dla niej na szpital. Erwin całymi latami nosił w sobie gniew, nie mógł patrzeć na wyelegantowanego Helmuta zjawiającego się czasami w Czarnym Borze.

Dopiero w ostatnim czasie zaczął myśleć inaczej. Helmut stał się przywódcą młodzieży, Helmut imponował, Helmut umiał przebyć trasę Olsztyn — Berlin i z powrotem. Przy użyciu fałszywych dokumentów! Erwin machnął ręką na stare żale ojca. Jego myśl jakoś przestała wracać do tamtych spraw. Minęło. Teraz inne czasy, Helmut już nie ma swojego majątku, jest goły tak jak Erwin, syn wiejskiego najemnika.

Płynęli po czarnej zupełnie wodzie, w której drżał tylko słup światła z okien chaty Gołębia. Helmut jakby się bał, że blask może go przychwycić, nie mówił nic tak długo, dopóki znowu nie wypłynęli w zupełną ciemność. Erwinowi trochę się nie podobało, że Helmut nie powiedział dokąd zmierzają. Jezioro tu było węższe, przesuwali się między wysepką i cyplem, słyszeli szum szuwarów poruszanych wiatrem. Erwin zwolnił. Kilka razy pchnął nawet wiosłami na opak i łódź przystanęła, zaczął ją znosić prąd. I nagle, jak huk serii strzałów, załopotano nad nimi, tuż nad uchem. Erwin odczuł po drgnieniu łodzi, że Helmut się poderwał.

— Dlaczego nie wiosłujesz?

— Krzyżówki poleciały. Z młodymi. Co tu na wyspie gniazd!

Helmut powtórzył zduszonym głosem:

— Dlaczego nie wiosłujesz?! Co?

— Można prosto, można w lewo, można w prawo. Nie wiem. Droga się rozdziela.

— Płyniemy na Głębokie. No, dalej!

Erwin znowu jął się wiosłać.

— Chleb. Najważniejszy jest chleb — zaczął Helmut. — Jak nie będą chleba mieć, to im się wszystkiego odechce. Komunizmu też. Niedostatek, trudności, braki, to najlepsza baza. Dla nas, dla naszej roboty niezastąpiona.

— Tak.

— Już teraz, choć to maj, opracuj ze swoimi chłopakami całą akcję. Zacząć natychmiast po żniwach. Palić! Palić! Palić! Niszczyć zboże w stodołach i w młynach, w stogach i w spichlerzach. Niech wiedzą, że my jesteśmy. Niech ogień będzie postrachem dla tych, jak to mówisz, nadgorliwych.

Erwin czuł na policzkach oddech nachylającego się ku niemu Helmuta.

— Komu nie wystarczy postrach — szeptał Żak — z tym się nie cackać. Zlikwidować — i już. Ostrzec raz, a potem zlikwidować.

Noc była chłodna. Erwinowi się zdawało, że ogarnął go płomień. Upałem tchnął oddech siedzącego naprzeciw Helmuta, gorąc szedł od słów, od tych jego szepcików i westchnień, w których tak często powtarzało się: „Palić! Niszczyć! Likwidować!”

II

Helmut był bledszy niż kiedykolwiek. Nerwowo spoglądał na zegarek szepcząc:

— Wszystko przez tych z bezpieki, cholera. Pokrzyżowali nam plany. Sam rozumiesz Erwin, żeśmy się nie mogli ruszyć ze wsi, póki oni siedzieli w lesnictwie. Zrozum. Dlatego trzeba było znowu nocą... długi kurs... a kto mógł przewidzieć taką piekielną noc?

Erwin milczał. Helmut udawał złość, a w gruncie rzeczy tłumaczył się przed Erwinem. Czuł, że kompan jest wściekły.

— I jeszcze ten zegarek! — potrząsał złotego Tissota, który przestał iść właśnie dziś w nocy — widocznie wody się napił

Dokończenie nastąpi



Pobyt w szpitalu zaczynał się zawsze od Izby Przyjęć

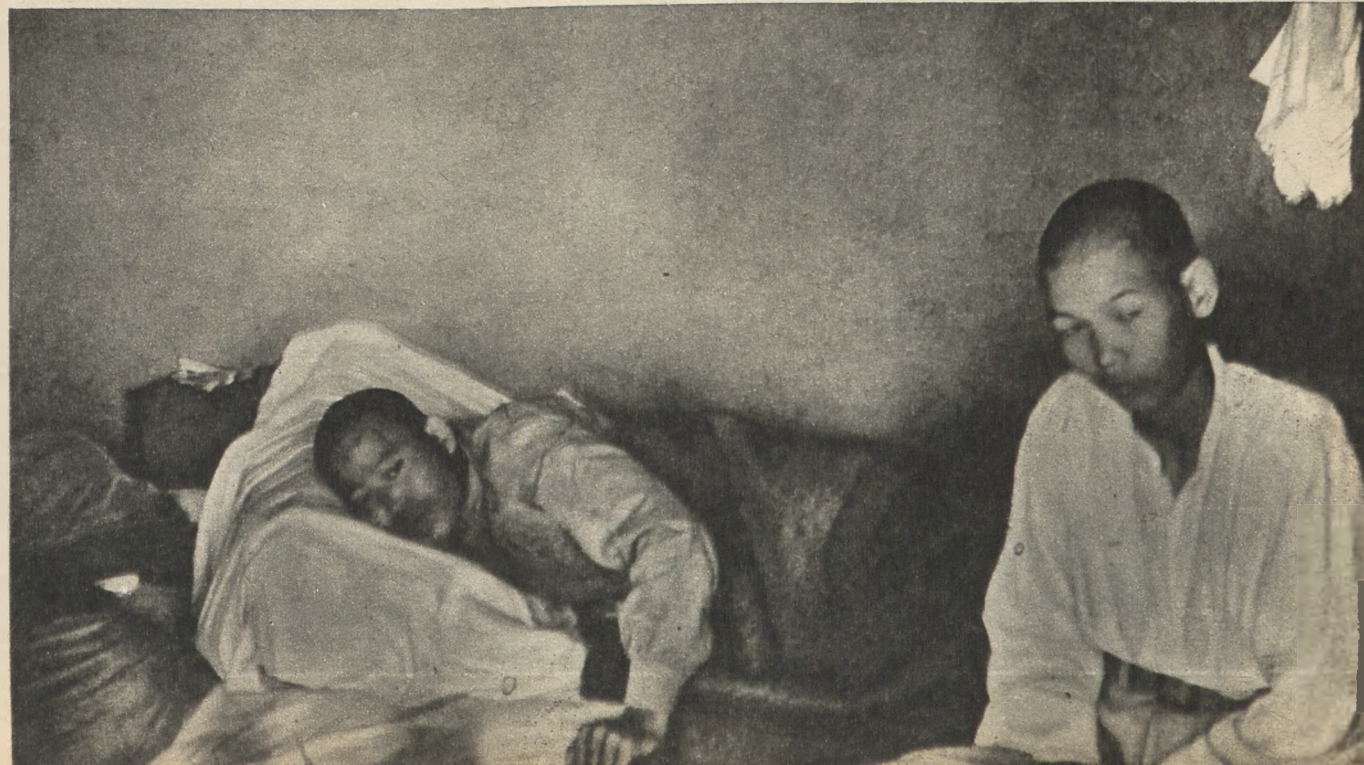


Ten namiot to „sala opatrunkowa”. Kolejki do niego nie kończyły się nigdy, nikt też nie odszedł nie opatrzony.



Jeńcy z Kożedo. Środkowy ma amputowaną nogę; była nie do uratowania. Jest on zupełnie głuchy — od pobicia

Umierający jeńcy z „wyspy białych kości” — Kożedo. Bestialskimi torturami usiłowano ich złamać — bezskutecznie. Zabrano im więc — życie. Tym ludziom już żadna pomoc nie zdoła przywrócić sił i zdrowia



JEDENAŚCIE MIESIĘCY W KOREI

(4)

Fotoreportaż własny „Świata”

TEKST I ZDJĘCIA: ANDRZEJ BRAUN

PLYNĘŁY wojenne dni i tygodnie, wypełnione trudem i nieustającym wysiłkiem. Ciężarowe samochody zwoziły niekończące się tłumy rannych i chorych żołnierzy. Tragedia narodu koreańskiego przesuwiała się przed naszymi oczyma. Byliśmy całkowicie wrośnięci w życie tutejsze, dzieliliśmy jego dobro i zło. Za dnia białe smugi przeleatujących na upalnym niebie odrzutowców amerykańskich, w nocy warkot ciągnących eskadr i głuche grzmoty bombardowań. Wojna toczyła się nadal. Jeszcze wyraźniej ukazywały tej potworności opowiadania ludzi, którzy przybywali do szpitala ze wszystkich frontów, ze wszystkich zakątków płonącego półwyspu. Głównym punktem, przez który przewijali się wszyscy przybywający żołnierze, była Izba Przyjęć. Mieściła się na drugim oddziale chirurgicznym, ulokowanym w małej wiosce o 6 km. od centrum szpitala. Tutaj dokonywano pierwszych opatrunków i selekcji chorych, potem kierowano ich na poszczególne oddziały. W ciasnym podwórku Izby Przyjęć kłębiły się nieraz dziesiątki cierpiących, wynędzniałych od transportu ludzi. Każdy z nich, to osobny rozdział tragedii koreańskiej. Straszliwie popaleni napalmem, umierający jeńcy z „wyspy białych kości”. Kożedo, partyzanci bestialsko torturowani prądem w Seulu, obłąkani — ogrom cierpienia, ogrom bohaterstwa. Przed namiotem opatrunkowym nie ustawały kolejki. Polskie pielęgniarki z całą miłością i oddaniem doglądały rannych. Przyjaźń żołnierzy i polskich sióstr rosła z dnia na dzień, świadczyły o tym tysiące listów pisanych niewprawną ręką przez chorych do polskich przyjaciół i towarzyszy. Listy te ozdabiano rysunkami jak dziecinne laurki, zwijane w kształcie kwiatu; to najpiękniejsza literatura, jaką poznałem w Korei. Ale współzycie z towarzyszami koreańskimi nie kończyło się w ramach pracy lekarskiej. Zyliliśmy wspólnie, bawiliśmy się i poznawaliśmy wspólnie.

Oto wśród gór Hiczona, na oczach rannych żołnierzy, rozwija się barwny korowód ognistego krakowiaka. Oto brzmia piosenki „Mazowsza”, muzyka Szopena. Staraliśmy się nie tylko leczyć żołnierzy, ale rozerwać ich, zabawić, zapoznać z naszą kulturą, z naszym krajem.

Osobny rozdział tej przyjaźni, to opieka nasza nad szkołą im. Li Ren-diua w sąsiedniej wiosce. Tym dzieciom kupowaliśmy pomoce szkolne, zabawki, żywność. To były „nasze dzieci”. Mali pionierzy często składali nam wizyty i urządzali „ogniska”. Stały się one najmiłszym wytchnieniem po ciężkiej, nerwowej pracy.

Dalszy ciąg nastąpi

DROBNE SPRAWY i WIELKIE UCZUCIA O ANTONIM CZECHOWIE

Napisał: SEWERYN POLLAK

TWORCZOŚĆ Antoniego Czechowa przypadła na lata, gdy społeczeństwo rosyjskie po okresie zrywu i wzburzenia lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ubiegłego stulecia pogrążyło się w mrok beznadziejnego smutku i ośpienia, jakie przyniosła ciemna władza obydwu Aleksandrów. Głębokim nurtem drażyła Rosję rodzająca się w cierpieniu przyszła rewolucja. Na powierzchnię nic się pozornie nie działo lub działo się źle. Życie płynęło jak mętna szara rzeka, w której tonęli zachłystując się codziennością co słabsi, co mniej odporni.

„Czytając opowiadania Czechowa człowiek czuje się jakby w smutnym dniu późnej jesieni, kiedy powietrze jest tak przejrzyste, że ostro rysują się w nim nagie drzewa, ciasne domy, szarzy ludzie...”

„...Jest w jego twórczości coś nowego; coś rześkiego i napelniającego otuchą przebijają się przez najgorsze okrucieństwo życia”.

Te dwa cytaty z Gorkiego krótko i lapidarnie określają najgłębszy sens twórczości Czechowa. Czechow maluje drobne obrazki, mówi o dniu powszednim zwykłych ludzi, których spotyka wszędzie: na ulicy, w urzędzie, w szpitalu, na wsi itp. Umieszcza ich w sytuacjach równie banalnych, ale są to sytuacje w pewnym sensie węzłowe w ich życiu, odsłaniające ich charakter. Czechow opowiada o najbardziej ponurych stronach życia z taką prostotą, z takim pozornym obiektywizmem, że już to samo stwarza wrażenie typowości pokazanych przezeń spraw codziennych w okrutnych warunkach życia ówczesnego. A wszystko zanotowane jest pismem skrótowym, jakąś stenografią uczuć i faktów. „Umiem krótko mówić o rzeczach długich” — powiada Czechow o swej metodzie pisarskiej. W innym zaś miejscu mówi: „Sztuka pisania — to sztuka skracania”. Jest on mistrzem kondensacji, jego małe opowiadanka to całe powieści z ekspozycją,

rozwinieciem i dramatycznym finałem.

Przywykliśmy uważać opowiadania Czechowa za zabawne; są one istotnie zabawne i istotnie wywołują w nas śmiech, ale jest to ten rodzaj śmiechu, który zmusza do zastanowienia, który jest jakimś pograniczem rzeczy śmiesznych i tragicznych, gdyż skupia w sobie te właśnie elementy rozproszone w życiu codziennym. Mali ludzie Czechowa są bohaterami wielkich tragedii na miarę antyczną, tragedii swojej epoki, swojej klasy.

Pokazując prawdę swojej epoki, prawdę twardą i okrutną, Czechow nie zatracił nigdy wiary w człowieka, nigdy nie zboczył z wielkiej postępowej linii, jaką wyznaczyła literaturze rosyjskiej twórczość takich pisarzy jak Gogol, jak Turgieniew, Sałtykow-Szczedrin i Tolstoj. Ta właśnie linia określiła stosunek Czechowa do społeczeństwa rosyjskiego, jego poczucie narodowe i jego prawdziwie humanistyczne podejście do człowieka.

Zacytowałem na wstępie zdanie Gorkiego, który przyrównał twórczość Czechowa do jesiennego dnia, kiedy to ostre światło wyraźnie rysuje kontury przedmiotów. Ten ostry rysunek nieubłagane realisty świadczy o tym, że twórcy zawsze obce było wszelkie upiększanie życia, wszelkie schlebienie, tak samo jak obcy mu był w swej istocie naturalizm. Bo dziwna rzecz — te dwa tak pozornie rozbieżne sposoby widzenia świata w gruncie rzeczy posiadają wspólne źródło: jest nim wewnętrzne przyzwolenie na istniejący stan rzeczy. Czechow, wielki realista, któremu bliskie były losy ludzi, zdawał się pytać poprzez całą swą twórczość: co czynić? Na pytanie to odpowiedziały ofiary kilku pokoleń rewolucjonistów rosyjskich, odpowiedziała w kilkanaście lat po śmierci Czechowa Wielka Rewolucja Październikowa.

Najwyższym ideałem pisarza, celem jego życia była praca i radość pracy. Gorki, który doskonale rozumiał wartość pracy w życiu człowieka, tak pisał o Czechowie: „Nie widziałem człowieka,



ROK 1898. CZECHOW CZYTA TEKST SWOJEJ NOWEJ SZTUKI. AKTORZY

Antoni Czechow i Maksym Gorki. Zdjęcie z roku 1900.



który by tak głęboko i wszechstronnie jak Antoni Pawłowicz odczuwał znaczenie pracy jako podstawy kultury”. W pracy celowej, świadomej odkrywał Czechow istotę postępu.

Kiedyś Czechow, określając, na czym polega praca dramatopisarza, wyraził się, że w dramacie należy tak przedstawić życie i ludzi, żeby ten obraz całkowicie odpowiadał rzeczywistości. „A przecież w życiu ludzie stale do siebie nie strzelają, nie wieszają się, nie oświadczają się sobie. I nie zawsze mówią mądrze. Przeważnie jedzą, piją, umizgają się, plotą głupstwa. Trzeba więc, żeby na scenie było to również widoczne. Trzeba napisać taką sztukę, w której ludzie przychodziliby, wychodziliby, jedli obiad, rozmawiali o pogodzie, grali w winta... Niech na scenie wszystko będzie tak samo skomplikowane, a jednocześnie tak proste jak w życiu. Ludzie jedzą obiad, tylko jedzą obiad, a w tym samym czasie tworzy się ich szczęście lub rozbija się ich życie...”

Słowa wypowiedziane przez bohaterów Czechowa mają zawsze podwójne dno, mają zawsze sens zewnętrzny, pozorny, i sens istotny, wewnętrzny, to, co Niemirowicz - Danczenko określa jako podwodny nurt. Na pozór niewiele wynika ze słów, które wypowiadają w toku akcji

bohaterowie sztuk Czechowa. Mówią oni przeważnie o rzeczach najbanalniejszych, najbardziej powszednich, od czasu do czasu tylko ze spokojnego toku ich mowy wydiera się na zewnątrz zdanie-symbol, zdanie - motyw muzyczny, które brzmi jak dramatyczne ostrzeżenie. Akcja rośnie wtedy, motywy wzmagają się crescendo i z zalewu codzienności wyłania się dramat losów ludzkich. Nie zawsze sami bohaterowie rozumieją istotę konfliktów, jakie między nimi zachodzą, ale z zestawienia tych konfliktów wynika właściwy dramat. Sztuki Czechowa ukazują nam małych ludzi i wielkie uczucia, drobne sprawy i głębokie przeżycia, bezbarwne, pozbawione blasku życia i wzniosłe ideały, smutny los ludzi, szarą rezygnację i mocną, optymistyczną wiarę w przyszłość.

Twórczość Czechowa ma tę właściwość, że każdy z jego najdrobniejszych utworów jest jak gdyby mikrokosmosem, odbijającym układ świata, który pisarz poddaje krytyce. Czy to więc będą najbardziej znane nowele i opowiadania, jak „Kaprał Prizybiejew”, „Sala Nr 6”, jak „Człowiek w futerale” lub „Kameleon” i „Złoczyńca”, czy też inne, mniej popularne — w każdym z nich Czechow w sposób najpełniejszy daje wyraz swemu stosunkowi do życia, swoim od nie-



MCCHAT-u SLUCHAJĄ Z DUŻYM ZAINTERESOWANIEM I UWAGĄ

go wymaganiom. Wbrew opinii liberalistycznej krytyki nie był Czechow beznamietnym kronikarzem owej posępnej epoki, w której przypadło mu żyć. Gorzki jest jego rzekomy obiektywizm i ciężką odpowiedzialnością obarcza pisarz nie tylko bezpośrednich sprawców zła, ale i tych ludzi uczciwych, myślących i dobrych, którzy nie mogą przeciwstawić się złu, bezradnie załamują ręce. Jest coś tragicznego w twórczości Czechowa — dysproporcja pomiędzy wartościami duchowymi a możliwościami człowieka, pomiędzy najpiękniejszymi zamierzeniami a możliwościami ich realizacji. Czechow, który w całym swoim piśmiennictwie jest poetą najszlachetniejszych dążeń człowieka, w swych najbardziej dojrzałych dziełach staje się jednocześnie oskarżycielem ludzi najlepszych, jeśli czynnie nie potrafią walczyć o swoje ideały. Ten motyw występuje również w jego twórczości dramatycznej, na przykład w „Wujaszku Wani”; jest on świadectwem optymizmu znakomitego pisarza, jego głębokiego przekonania, że świat można przetrwać, przetwarzając warunki życia. Ta wiara wielkiego twórcy czyni go nam niezmiernie bliskim, nam, uczestnikom i świadkom olbrzymich przemian historycznych, społecznych i moralnych, jakie odbywają się w naszych czasach.

ANTONI CZECHOW W PRZYJAZNEJ POGAWĘDCE Z LWEM TOLSTOJEM. ROK 1901.



GŁOSY O POLSCE

Aenne Kundermann

Aenne Kundermann, urodzona w roku 1907 w rodzinie robotniczej, wcześniej włączyła się do walki niemieckiej klasy robotniczej o wyzwolenie społeczne. Mając zaledwie 14 lat wstępuje w szeregi Związku Młodzieży Komunistycznej, a od roku 1928 jest członkiem Komunistycznej Partii Niemiec, poświęcając się pracy w związkach zawodowych.

Po dojściu Hitlera do władzy, Aenne Kundermann wyjeżdża do Związku Radzieckiego. Po powrocie do ojczyzny bierze czynny udział w odbudowie zniszczonego kraju.

W latach 1951—1953 ambasador Aenne Kundermann pełniła obowiązki szefa misji dyplomatycznej Niemieckiej Republiki Demokratycznej w Warszawie.



Z DUMA i radością spogląda dziś klasa robotnicza Polski Ludowej na wyniki, osiągnięte w przeciągu minionych dziesięciu lat. Przed dziesięciu laty, kiedy Armia Radziecka wraz z Wojskiem Polskim wyzwalała kraj z jarzma hitlerowskiego, polska klasa robotnicza w sojuszu z chłopami — zgodnie z lipcowym Manifestem Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego — przystąpiła do odbudowy własnego, niepodległego państwa.

Zarówno na wschodnich, jak na zachodnich, południowych i północnych obszarach kraju, polska klasa robotnicza z wielką odwagą i zapałem rozpoczęła dzieło odbudowy swej ojczyzny, tak straszliwie zniszczonej przez barbarzyńską wojnę, rozpętaną przez Hitlera. Z ruin poczęły się podnosić nie tylko stare miasta polskie, jak Warszawa, Gdańsk, Olsztyn, Poznań i wiele, wiele innych, lecz powstawać zaczęły nowe piękne miasta, nowe wielkie ośrodki przemysłowe, jak: cementownia „Odra”, kombinat włókienniczy w Andrychowie, Fabryka Samochodów Ciężarowych w Starachowicach, elektrownia w Jaworznie i wreszcie to, czym się szczególnie szczyci naród polski — wielka huta imienia Lenina, coraz bliższa całkowitego uruchomienia.

Wyniki, jakie polska klasa robotnicza uzyskała pod przewodnictwem swej Partii, są wielkie i zdumiewające zarówno na polu politycznym, gospodarczym i kulturalnym, jak i na drodze do budowy socjalizmu.

Osiągnięcia narodu polskiego nie tylko wywołały szczery podziw daleko poza granicami Polski, lecz stały się również bodźcem i dla innych krajów demokracji ludowej — w dużym stopniu i dla Niemieckiej Republiki Demokratycznej — do wzmożenia wysiłków przy odbudowie zniszczeń wojennych.

Te wyniki dało się osiągnąć jedynie dzięki temu, że naród polski potrafił sparaliżować wszystkie wrogie zakusy obozu imperialistycznego, że zdecydowanie, solidarnie i z całkowitym zaufaniem stanął po stronie swego rządu.

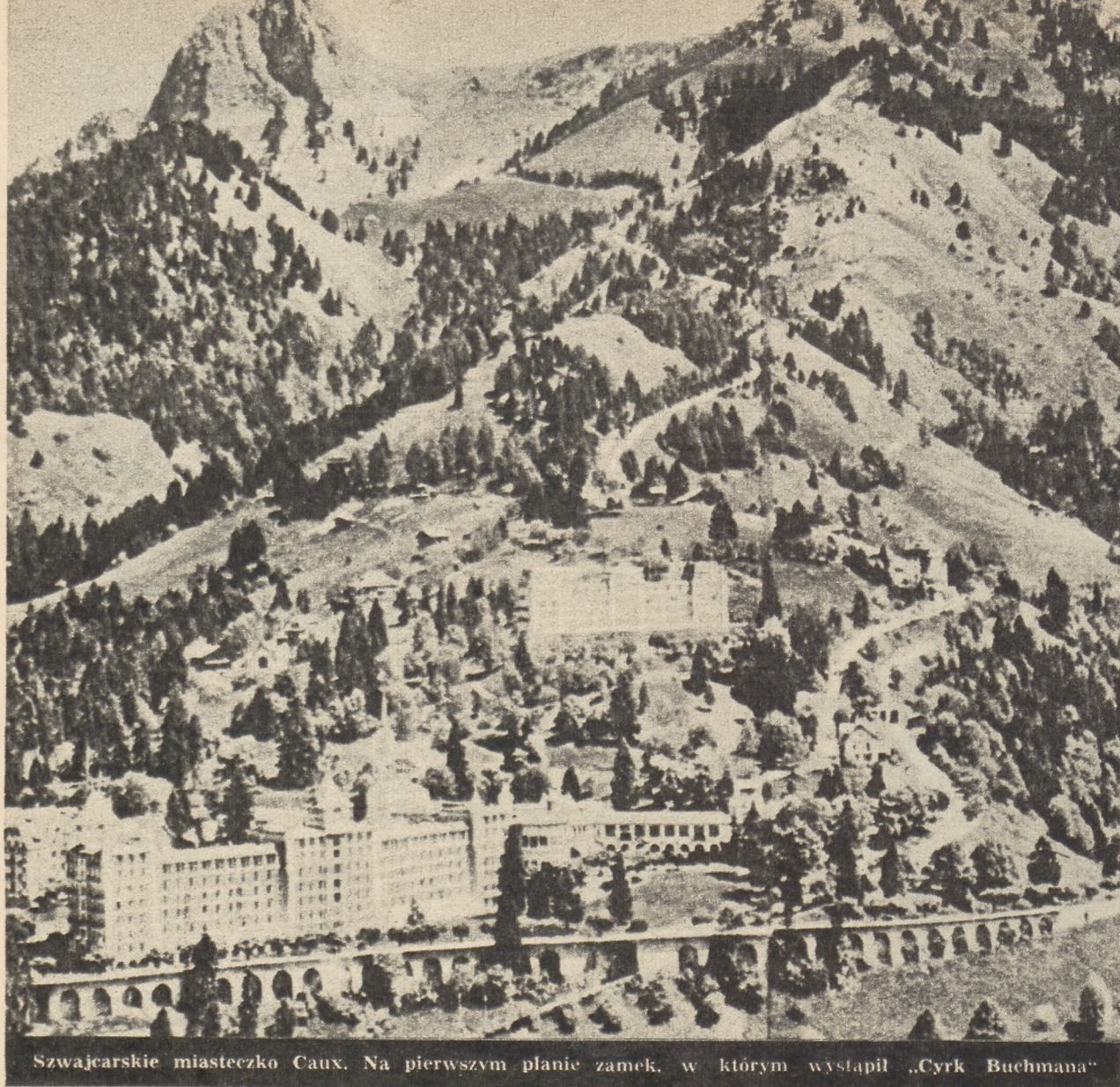
Polska Rzeczpospolita Ludowa odgrywa poważną rolę w życiu narodów miłujących pokój, na których czele kroczy potężny Związek Radziecki. Naród polski łączy więzy przyjaźni, umowy handlowe i porozumienia kulturalne ze wszystkimi pokój miłującymi narodami. Polska Rzeczpospolita Ludowa konsekwentnie i zdecydowanie występuje w obronie praw i dążeń tych krajów, które pod jarzmem kapitalizmu walczą o swą wolność i niepodległy byt.

Na podłożu wspólnej walki o pokój, pomiędzy narodem polskim a miłującymi pokój Niemcami nawiązane zostały niezniszczalne więzy braterskiej przyjaźni. Obydwa nasze narody wyciągają do siebie poprzez granicę na Odrze i Nysie mocne, braterskie dłonie.

Robotnicy w Niemieckiej Republice Demokratycznej z wielkim zainteresowaniem śledzą sukcesy na drodze odbudowy, jakie widzą w sąsiadującym z nami kraju, i wraz z Wami cieszą się z nich, wiedząc, że każde pomyślne osiągnięcie narodu polskiego stanowi jednocześnie również i dla narodu niemieckiego pomyślny etap w jego walce o pokój i zjednoczenie Niemiec.

W dziesiątą rocznicę istnienia Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej przesyłam narodowi polskiemu swe najserdeczniejsze pozdrowienia i najlepsze życzenia dalszej owocnej budowy socjalizmu.

Kundermann



Szwajcarskie miasteczko Caux. Na pierwszym planie zamek, w którym wystąpił „Cyrk Buchmana”



Frank Buchman

BUCHMANA

EDMUND OŚMAŃCZYK

Genewa, w czerwcu 1954 r.



NIEDZIEŁĘ zielonoświątkową niebo było ołowiane i ociekało mgławym, beznadziejnym deszczem. Gdy skryło się w lepkiej otoce chmur, zielone genewskie jezioro zamroczyło się niebem, świeciły tylko liście drzew i asfalt pustych ulic.

Na miejscu spotkania nie było nikogo. Tylko ja — niepoprawnie naiwny — wstałem klnąc o 7 rano i punkt ośma sterczałem przed Maison de la Presse w oczekiwaniu na przyjaciół, z którymi umówiłem się na wycieczkę do Montreux. Krótki telefon przekonał mnie jednak o daremnym oczekiwaniu. — Nieee! — usłyszałem zaspany głos. — Deszcz pada! Nieee! Nie jedziemy!

W pustym Maison de la Presse kręciły się sprzątaczk i ziewający nudą stary portier. Podeszedłem do tablicy z różnymi ogłoszeniami i, nie wiedząc co robić, ślizgałem się wzrokiem po rozlepionych kartkach papieru, aż zatrzymałem się na jednej z nich, zaskakującej czerwonym nagłówkiem:

Une sagesse politique nouvelle
Pour un monde nouveau!

Cóż to za „nowa polityczna mądrość dla nowego świata”? Ach! Oczywiście „światowy ruch dozbrowienia mo-

ralnego — „MRA — Moral-Re-Armament“ w Caux sur Montreux, Suisse, ruch popierany przez Konrada Adenauera, Roberta Schumana i, co najważniejsze, przez senatora Alexandra Wileya, przewodniczącego Komisji Zagranicznej Senatu USA. To Wiley, jak głosi reklamowane ogłoszenie, powiedział: „Szereg senatorów USA był w Caux i stwierdził, że znaleźć tam można więcej informacji i odpowiedzi, dotyczących współczesnej sytuacji międzynarodowej, niż w jakimkolwiek innym miejscu świata... Toteż stwierdzamy, że Moralne Dozbrojenie jest jedyną ideologiczną siłą, która jest w stanie przemienić i zjednoczyć świat“.

Kiedy zobaczyłem w tej samej chwili karteczkę z napisem „autobus do Caux odjeżdża w niedzielę 6 czerwca o 8.45 sprzed Domu Prasy“ — byłem już zdecydowany jak najszybciej zobaczyć to miejsce, w którym udziela się informacji o „jedynym ideologicznym sile“ zdolnej przemienić i zjednoczyć świat.

Z kolei zorientowałem się, że reklama MRA jest zaproszeniem, skierowanym do dziennikarzy, akredytowanych na Konferencji Genewskiej, by wzięli udział w całodziennych obradach w Caux, w niedzielę zielonoświątkową 1954 r. Za drobną opłatą 10 franków obiecywali organizatorzy dwugodzinną informację, „jak powstaje nowy świat“, następnie obiad, potem sztukę teatralną pt. „Wieść prawdziwa“, z kolei dalszą półtoragodzinną



Okladka kolorowego pisemka za półtora franka

informację „dla każdego skądkolwiek jest“, potem posiłek wieczorny, a na koniec jeszcze jedna sztuka teatralna, której akcja toczy się „w dzień po-pojutrze“. Za dzień franków to bardzo dużo. Pociąg z Genewy do Montreux w jedną stronę kosztuje 13 franków, a z Montreux do Caux dalsze 3, a tu za 10 franków podróż w obie strony i obiad, i kolacja, i dwa teatralne przedstawienia. Kto za to płaci? Czyim mam być naprawdę gościem?

Ktoś pchnął silnie szklane drzwi i do pustej sali Maison de la Presse wszedł sprężystym krokiem mężczyzna lat około trzydziestu kilku, ubrany nienagannie, aczkolwiek w sposób, który zdradza pedanterię ludzi przywykłych przez dłuższy czas do noszenia oficerskiego munduru.

Śpiewnie, pojękliwą amerykańską angielszczyzną spytał mnie uprzejmie, ale w tonie nie znośnym sprzeciwu:

— Pan jedzie do Caux?! Gdzie reszta?!

Zająknąłem się zmieszany, tłumacząc, że pewno śpią, bo deszcz, bo niedziela, że ja też niechcący i może nie trzeba, by dla mnie cały autobus, bo to duży wydatek, a ktoś za to musi płacić...

Wątpliwości moje rozwiało ukazanie się pięciu dziennikarzy i jeszcze jednego Amerykanina, bardzo podobnego do „mojego“.

Czekaliśmy piętnaście minut, minęła dziewiąta, deszcz pluł, Amerykanie chmurzyli się, pięciu dziennikarzy z prasy baodaiowskiej, czangkaiszekowskiej i lichy wie jakiej patrzyło na mnie z ukosa, a ja czułem się jak chłopak, który wlaż w kałużę i mięsi błoto nowymi butami, wiedząc, że jak się wdepło, to już i tak wszystko jedno.

Amerykanie znikli, po pięciu minutach wrócili, znikł za to autobus i odsłonił dwa eleganckie Ople (— podarunek Adenauera? —), do których zostaliśmy uprzejmie zaproszeni.

„Mój“ Amerykanin odebrał od każdego kartę, na której trzeba było wypisać nazwisko i gazetę czy rozgłośnię, którą się reprezentuje. „Polskie Radio, Varsovie“ — zaskoczyło najwyraźniej „mego“ Amerykanina, bo powiedział niespodzianie:

— Bardzo dobry obiad będzie dzisiaj!

Zrozumiałem, że chciał mnie odciągnąć od myśli, iż w Caux zajmuje się czymkolwiek innym niż kuchnią i transportem, więc grzecznie odpowiedziałem:

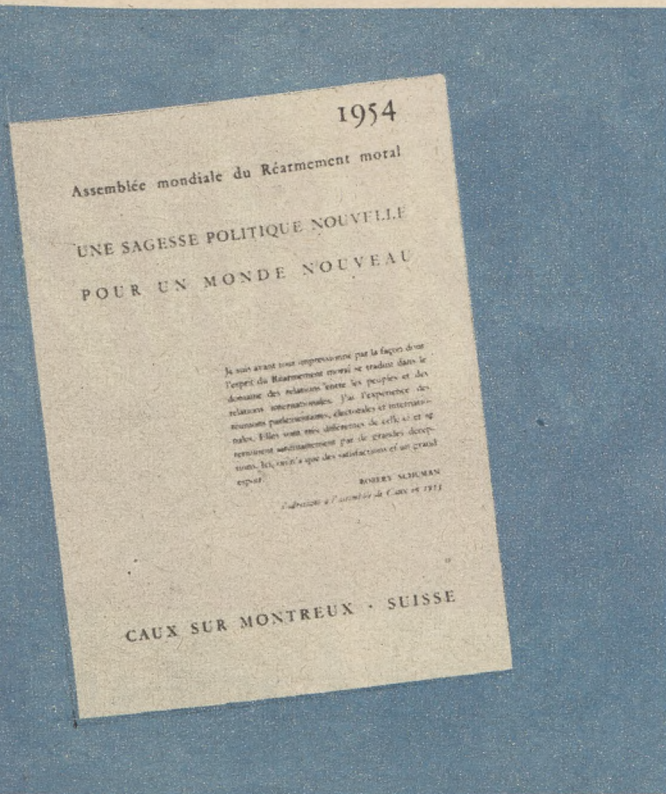
— Cieszę się, bo bardzo lubię francuską kuchnię.

Amerykanin nic nie odpowiedział, nacisnął starter i gwałtownym poślizgiem po mokrym asfalcie ruszyliśmy przez most na Rodanie w kierunku Montreux.

Prócz mnie jechał w wozie tylko jeden dziennikarz, narodowości rzekomo tureckiej, pisujący rzekomo do prasy arabskiej, używający naprawdę rzekomego książęcego tytułu i władający zbyt dobrze kilkoma językami europejskimi, by móc orzec, który jest jego językiem macierzystym czy ojczystym. Mówił bardzo wiele to po angielsku, to po francusku, to po niemiecku, Amerykanin milcząc prowadził umiejętnie wóz, ja wciąż senny od ołowianego nieba i zamazanego krajobrazu, bąkałem krótkie wtęty i uśmiechałem się błogo, słysząc dobre nowiny o polskich znajomych „księcia - dziennikarza“: o Alfredzie Potockim, że za 50 000 franków szwajcarskich kupił sobie obywatelstwo Księstwa Lichtenstein i nie ma kłopotów w podróżowaniu po „wolnym świecie“, o Lubomirskich, którzy też sobie, chwalić Boga, dają poza Polską radę, o Leonie Radziwille, którego w czasie wojny sam papież z pomocą Goeringa wydstał z Polski na zachodnią stronę, o...

Zdrzemnąłem się i śniłem przez chwilę o papieżu, jak szepce komuś do ucha: „Pamiętam zawsze o Polakach, pamiętam“.

Ocknąłem się na ostrym wirażu, droga pięła się stromymi zakrętami pod górę. Spojrzałem w tył, w dole mroczyło się Montreux, dalej ugrowata maź jeziora.



Ulotka propagandowa „dozbrojenia mora'nego”

Odwrociłem głowę, samochód piał się na ostrą stromiznę, w górę majaczył jakiś renesansowo-pagodowy zamek.

- Jąde na Monsalvat! — bąknąłem swoim muzom.
- What do you mean? — usłyszałem „książęcy” głos.
- O, nic! Przypomniałem mi się, że zapomniałem zabrać z sobą parasola.

Przed wejściem do hotelu-zamku powitał nas znów śpiewnie, jękliliwą angielszczyzną starszy wytworny pan w granatowej dwurzędówce, wprowadził nas do ogromnego kwadratowego hallu — o powierzchni 400 do 500 m. kw. — gdzie przy małym kwadratowym stoliku i dwu wielkich fotelach stało dwóch, jeszcze bardziej wytwornych, już na czarno ubranych panów w kamizelkach z białymi wypustkami, i o twarzach, w których przyczernione brwi i białe pokazywały w najuprzejmiejszym uśmiechu sztucznych zębów, podobnie jak nakremowana starannie opalenizna skóry i ubrylantynowana siwizna resztek włosów, składały się na idealny obraz ludzi, stworzonych do witania gości w hallach międzynarodowych siedzib.

Mięciutki jak mech dywan i przytłumione wytwornością głosy powitań spowodowały, że odczułem natychmiast, iż stoję na progu siedziby „nowej mądrości politycznej dla nowego świata”.

Ktoś uprzejmie wcisnął mi do ręki aparacik ze słuchawkami, pozwalający, na wzór podobnych urządzeń w ONZ, słuchać na korytarzach przemówień wygłaszanych w sali obrad. Nie chciało mi się, abym uronił choć słowo z rozpoczętej przed chwilą uroczystości.

Ktoś drugi delikatnie sterował moim łokciem, podając mi w ten sposób kierunek długiej drogi poprzez przybrane boazerią korytarze i marmurowe schody, prowadzące do sali, w której rozpoczęła się właśnie uroczystość zapoznawania „każdego człowieka skądkolwiek jest” z „nowym tworzącym się światem”.

Gestem samoobrony wyciągnąłem machorkowego „Gauloise’a”, pstryknąłem szybko zapalniczką i mocnymi kłębami dymu znańczyłem swoją drogę.

W słuchawkach trzymany w ręku bełtały się jakieś dźwięki, przypominające chórny śpiew.



„Największy rewolucjonista Afryki” — jeden z aktorów „Cyrku Buchmana”

Przed szklanymi drzwiami wstrzymaliśmy kroki i odech. Istotnie śpiewał chór, a wypełniona po brzegi sala słuchała w nabożnym skupieniu.

II

Wśród oklasków dla chóru pociągnięto mnie do pierwszych rzędów, gdzie oczekiwały zarezerwowane dla nas miejsca.

Przed nami na podium, z którego schodził chór, zobaczyliśmy pięć wysokich foteli, w których rozsiadło się dostojnie pięciu dżentelmenów o różnym odcieniu skóry, wroście i tuszy. Pierwszy od lewej z założonymi pobożnie na wydatnym brzuchu rękami był Murzynem, drugi równie nabrzmiały mógł być tak samo rzeźnikiem z Brześcia nad Bugiem, jak z Monachium czy Tuluzą. Uwagę przykuwał natomiast wysoki, szczupły pan w środkowym fotelu, ubrany na czarno, z białą jedwabną chusteczką w kieszonce, o urodzie, jaką się spotyka zazwyczaj na reklamach pasty do zębów względnie fryzjerskich kosmetyków. Niemniej wyróżniał się on tak silnie pośród swych sąsiadów, że czynił niezauważalną chuchrowatą, szarą postać, zagłębianą w fotelu czwartym i dopiero piąty fotel przykuwał na nowo uwagę osobą niewątpliwie japońskiego dżentelmena w binoklach, pod którymi nerwowym tikiem mrugały bez przerwy skośne inteligentne oczka, bardzo rozbawione, przez co stanowiły zdumiewający kontrast z poważnie zaciśniętymi wąskimi ustami i rękoma nieruchomo spoczywającymi na wyduętym lekko brzuszku.

Za pięcioma dżentelmenami stała duża grupa ludzi, do której wchodził się teraz chór, a dalej widać było trzymetrowej wysokości ścianę ozdobioną malowidłami korporacyjnych herbów, jak to było w zwyczaju w XIX w. — przystając burszowskie knajpy. Lecz tym razem ściana nie sięgała do sufitu, dalej bowiem w górę umieszczono ogromne organy, których dopiero najwyższa piszczałka sięgała półkolistego sklepienia, to zaś wspierało się tuż przy pierwszych rzędach na dwóch wielkich filarach, również ozdobionych burszowskimi esami floresami. Nad nami rozpoczynało się nowe półkoliste sklepienie, kilkakrotnie większe od pierwszego, a po lewej i prawej stronie znów otwierały się nowe półkoliste przestrzenie, co w sumie przypominało kościelną budowlę zmienioną na burszowską knajpę.

Rozglądając się po czterolistnej sali, wypełnionej chyba blisko tysiącem ludzi różnego wieku i różnych odcieni skóry, zafascynowany różnorodnością twarzy pomarszczonych i gładkich, naiwnych i szczwanych, nie zauważyłem, że ze środkowego fotela podniosła się żywa reklama pasty do zębów i poczęła szybko przemawiać. Dźwięk głosu, obtoczonego w oliwie, skupił moją uwagę z powrotem na podium.

Dżentelmen z rutyną amerykańskiego konferencjera strzelał kilkunastoma na raz zdaniami, w których powtarzało się często nazwisko Franka Buchmana, Amerykanina niemieckiego pochodzenia, autora „nowej politycznej mądrości dla nowego świata”. Jakis zabawny jegomość z odstającymi na miłe uszami, którymi strzygił w chwilach przysłuchiwania się salwie zdań amerykańskiego spikera, tłumaczył zdumiewająco szybko całą wiązkę zdań na język francuski, po czym gwałtownie milkł i ponownie strzygił uszami.

W pewnej chwili skończyła się tyrada na cześć Franka Buchmana, lecz rozpoczęła się natychmiast nowa na cześć „największego rewolucjonisty Afryki”, którym wśród zażenowanych i burzliwych oklasków okazał się być otyły, kilkudziesięcioletni murzyński dżentelmen z pierwszego fotela, dr William Nkomo, obywatel Południowej Afryki, „prezydent Afrykańskiego Narodowego Kongresu Młodzieży”.

Dr Nkomo wstał, podszedł do mikrofonu i poczęł słodką dziecinną angielszczyzną opowiadać, jak błądził walczyć rewolucyjnie o prawa dla rasy murzyńskiej i jak nagle poprzez Caux ujrział prawdę jedyną: nie należy walczyć, lecz należy samemu się zmienić i poprzez „samo-zmianę” zmieniać świat, biorąc udział w największej rewolucji świata, która dokonuje się poprzez serca ludzkie.

Walka o prawa czarnej rasy przestała dlań istnieć z chwilą, gdy z całą pokorą oddał Południową Afrykę pod opiekę bożą.

Tu założył znów tłuste rączki na tłustym podołku, rozległy się akordy fortepianu i „największy rewolucjonista Afryki” poczęł miłym chropowatym głosem śpiewać smutną piosenkę o drodze do Ziemi Obiecanej.

Oklaski zagłuszyły echo smutnej murzyńskiej pieśni. a dobił ją do cna amerykański konferencjer nową salwą propagandowych sloganów w rodzaju „każdy może się zmienić”, na dowód czego jak królika z cylindra wyciągnął z wysokiego fotela mrugającego oczkami Japończyka, postawił go przed mikrofonem i kazał mu opowiadać, „jak się zmienił przez największą rewolucję świata, której kolebką jest Caux”.

W terkocie zdań padło nazwisko Japończyka, które zelektrykowało moich sąsiadów, czangaiszekowskich dziennikarzy: Mitsui! Krupp Japonii! Czyżby to on? Czyżby rzucił się i na dozbrojenie moralne? — cmokano z uznaniem i podziwem.

Z pierwszego zdania wypowiedzianego bardzo poprawną angielszczyzną wyczuć to było można, że oto prezentuje się jeden z najwspanialszych okazów Cyrku Buchmana.

„Jestem wielkim kapitalistą, człowiekiem bardzo bogatym, a mimo to nie miałem spokoju ani w sobie, ani wokół mnie. Mój starszy brat robi miliony, moja młodsza siostra stała się komunistką. Żona moja nie rozumiała mnie, a ja jej nie rozumiałem. Ja byłem jak jeź: z wierzchu ostry, twardy, w środku miękki, żona moja była jak ryba: z wierzchu mięciuteńka, w środku ościasta. Aż doszła do mego domu wieść: „każdy się może zmienić” i teraz mam szczęśliwy dom. A wieść tę przyniósł mój przyjaciel, wielki fabrykant tokijski, który wraz z jednym ze swych 120.000 robotników był w Caux. Wrócił i zastał w swych zakładach strajk, lecz z pomocą

owego robotnika, głosząc razem „z serca do serca” ową wielką prawdę „każdy się może zmienić”, ułagodził strajkujących, powrócił do pracy, przyznał im ze zmienionego serca podwyżkę płac i odtąd panuje tam harmonia. Przekonany wybrałem się sam do Caux i widząc tu w pierwszym rzędzie trzech robotników japońskich wołałem do nich: my kapitaliści grzeszyliśmy i grzeszymy wobec was strasznie, ale straszniejszą jest walka klas, więc wybaczone z serca do serca i niech każdy z nas zmieni się, a zmienimy wspólnie świat...”

Na sali było wielu wzruszonych do głębi kapitalistów, co wyraziło się rzęsiстыми brawami, które przytłumił chór odśpiewaniem kantaty, brzmiącej w wolnym przekładzie mniej więcej tak:

Robotnicy i bankierzy

Każdy z nas w to samo wierzy:

Rewolucja boża zmienia świat!

My rządzący i poddani

Łaską bożą odmieniani

My jesteśmy rewolucji kwiat!

Ze środkowego fotela wypłynął w górę urodziwy dżentelmen i kaskada słów spłynęła na salę. Pochwyciłem ostatnie zdania:

„A teraz wystąpi prawdziwy robotnik! 20 lat w Partii Komunistycznej Zagłębia Ruhry! Fritz Heske, który się zmienił!”

Po czym jak zawołanie na kundla:

„Fritz! Na podium!”

Z drugiego rzędu dwoma susami wyskoczył przed mikrofon krępy, podtatusiały szwab, w tabaczkowej dwurzędówce i poczęł recytować po niemiecku swój życiorys, jak to służył walce klas, za co uwięził go Hitler, no i zrozumiał, że nie walka klas, tylko „z serca do serca” „każdy może się zmienić”, jak uczy wielki Frank Buchman, którego czci cały świat. Tu Fritz podniósł zamasyście w górę rękę, ale natrafił na wzrok tresera, ręka mu nagle zwióztzała, pomachał nią niepewnie i zeskoczył szybko z podium, lekko pchnięty do przodu przez konferencjera, który już szybko zapowiedział nowy numer Cyrku Buchmana: Maurice Mercier, sekretarz generalny francuskiego związku zaw. robotników tekstylnych Force Ouvriere. Z drugiego fotela wstał grubas, którego brałem za rzeźnika z Tuluzy, poprawił krawat, ściągnął nieco w dół kamizelkę i poczęł kapać miodem mowy „z serca do serca”.

„Ludzie, skądkolwiek jesteście, wiedźcie, że rewolucja, do której was wzywa Moralne Dozbrojenie — to nie krzyk nienawiści klasowej, to nie widmo utraty godzin pracy przez strajki, to nie groźba rozlania krwi w ulicznych walkach, lecz moralna siła, która kładzie kres klasowej walce i jednoczy rasy, klasy i cały świat!”

Dokończenie na str. 23

Trzej protektorzy „Cyrku Buchmana”

CAUX



ADENAUER



SCHUMAN



WILEY



A teraz niespodzianka: barwne jak kwiaty baloniki już za chwilę popruną ponad amfiteatrem.

CZYSTY i świeży po nocnej ulewie ranek zapowiadał upalny dzień. Rozśpiewane, roześmiane grupy ludzi wysiadają z samochodów, wsączają się wolno w wąskie spadziste uliczki. Niespodzianie zza zakrętu wylania się przepyszny, niezapomniany widok: olbrzymia bryła piaskowca na skalnym urwisku zdobna łagodnie łopocącym czerwonym sztandarem. A dalej, a niżej: wspaniała, wykuty w skale amfiteatr okolony soczystą zielenią, wypełniony morzem głów.

Piękny i imponujący był festyn na Górze św. Anny. Ponad 200 tysięcy ludzi różnego wieku, najróżniejszych zawodów — przedstawicieli Opolszczyzny i całej niemal Polski zgromadził ów dzień zakończenia tegorocznych Dni Oświaty, Książki i Prasy u stóp pomnika Powstańców Śląskich. Tam, gdzie przeszło 30 lat temu walczyli o wolność bohaterscy powstańcy, zgromadzili się ludzie walczący o pokój, budujący dla pokoju.

Przed gablotami i kioskami pełnymi książek gromadzą się tłumy. Wybierają, przeglądają, nabywają nowości wydawnicze: klasyków literatury i powieści współczesne, opowiadania historyczne i broszury popularno-naukowe. Przechodzą zatrzymując się często i na długo przed gablotami z taką książką, której nie nabędziesz już dziś w księgarni ani na kiermaszu: pożółkłą, wyszarzałą książką polską, która przetrwała prześladowania na równi ze swym czytelnikiem na Opolszczyźnie.

Nielatwo było trwać w polskości osamotnionym, prześladowanym gwałtownie, wynaradawianym uparcie Polakom. A jednak nie tylko trwali, ale i tworzyli własną, piękną, bohaterką literaturę narodową z którą spotykamy się tu na festynie ludowym, którą poznajemy niejako od nowa poprzez ludzi mówiących często językiem archaicznym, takim, jakiego nauczyli się na przechowywanych z pietyzmem, przechodzących z pokolenia na pokolenie starych drukach.

10 lat niespełna, a jakże szybko przeskoczyliśmy dziedzictwo owych czasów: przymusową ciemnotę, lęk o przyszłość dzieci.

Z głośników płyną słowa posła Ziemi Opolskiej, Józefa Barona: — Mamy więc już na Opolszczyźnie 900 szkół podstawowych, 116 średnich szkół ogólnokształcących i zawodowych, 750 świetlic gromadzkich i zakładowych, w których działa prawie 1.500 zespołów artystycznych. Mamy tysiąc bibliotek i punktów bibliotecznych i Teatr Ziemi Opolskiej, mamy ponad 50 kin, orkiestrę symfoniczną i gazetę regionalną o nakładzie 100 tysięcy egzemplarzy...

Idźmy więc za radą sto lat temu wypowiedzianych a wiecznie aktualnych słów poety i działacza społecznego, robotnika śląskiego Jana Ligonja: „...po pracy miło odpoczywać, lecz nie tak, by drzemać, lub siedzieć a ziewać...”

— Spotkaliśmy się na ziemi, której przeszłość jest świetna niezniszczalnymi pomnikami polskości — powiedział do zebranych na Górze Św. Anny premier Cyrankiewicz



Festyn

W SKALNYM AMFITEATRZE

Zdjęcia: W. PRAŻUCH

„Kochajcie książkę, ona ułatwi wam życie, pomoże zorientować się w burzliwej





Wieki przetrwały stroje i tańce opolskie będące wyrazem polskich tradycji narodowych tych ziem. Za chwilę barwny korowód rozwinie się w piękny, pełen uroku taniec

matłwanie myśli, uczuć, zdarzeń..." — oto ulotka po którą wyciąga się las tysięcy rąk

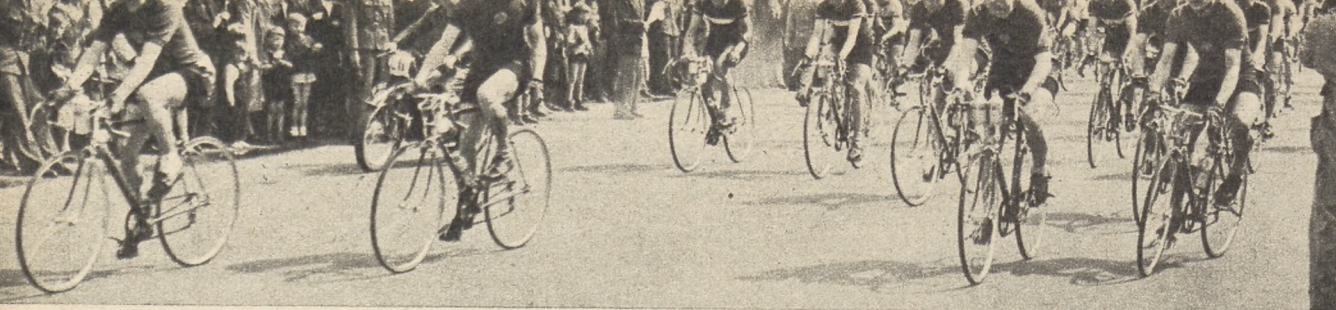


Ponad 200 tysięcy ludzi przybyło pociągami, autobusami i pieszo na to wielkie spotkanie



Jak to powiedział Jan Ligoń? „...po pracy miło odpoczywać...” — tej grupie na pewno nie grozi drzemka lub ziewanie, po podwieczorku zacznie się urozmaicona zabawa





SIODEŁKO WILCZEWSKIEGO

CZYLI

JESZCZE RAZ O WYŚCIGU POKOJU

Napisał: ARTUR MIĘDZYRZECKI

O NIEPOSKROMIONA fantazja warszawska! Ileż razy powtarzałem to sobie po powrocie z Wyścigu Pokoju, kiedy przyjaciele i znajomi wypytawali mnie o rzeczy i sprawy, których nikt chyba na trasie nie dostrzegł. I dalibóg nie było to przecenienie, ale fakt wynikający z tej prostej przyczyny, że zdarzenia owe i sprawy w rzeczywistości nie istniały. Po pierwszym dniu zadziwienia udało mi się wreszcie zrozumieć sens tych nieoczekiwanych dialogów, w których ludzie bardzo skądinąd mili, ale nie mający zielonego nawet pojęcia o kolarstwie, wygłaszali na temat tego sportu zdumiewająco fachowe twierdzenia. Okazało się bowiem, że warszawska ulica ułożyła swoją własną historię VII Międzynarodowego Wyścigu Pokoju. Fragmenty tej interesującej zresztą i niezwykle barwnej historii poznawałem też stopniowo w najróżnorodniejszych okolicznościach i w najrozmaitszych miejscach. W Klubie Literatów musiałem niemal przysięgać, że sam i na własne oczy widziałem, jak na mecie we Wrocławiu Rużiczka wyprzedziła w ostatniej chwili Mietka Wilczewskiego. Widziałem to rzeczywiście — i równie dobrze jak widzę teraz moje wieczne pióro posuwające się po papierze i rzucające podłużny cień pod wielkim kłosem lampy.

— Czy Rużiczka złapał go za siodełko? — pytał Krzysztof.

— I co to było z tym siodełkiem? — dodała niespodzianie pani w średnim wieku, której nikt dotąd nie podejrzewał o jakiejkolwiek zainteresowanie dla kolarskiego ekwipunku.

Cóż, ku strapieniu moich rozmówców nic nie wiedziałem o siodełku. Widziałem tylko Rużiczkę, który jak najbardziej przepisowo mijał na finiszu Wilczewskiego.

Nie było zresztą powodu do zmartwienia. Mieliliśmy wtedy dwa zwycięstwa etapowe Wilczewskiego i jedno Władysława Kłabińskiego. Teraz dochodziło do tego drugie miejsce Wilczewskiego. Drużyna jechała bardzo dobrze. A że Rużiczka? I dlaczego? Dlatego po prostu, że w tym etapie kolarz spod Bratislavy miał odrobinę sportowego szczęścia.

— A w ogóle to dom wariatów — jak mówił przez telefon pewien zdenerwowany sprawozdawca — wyjeżdżaliśmy z Warszawy jako kandydaci na siódme, czy ósme miejsce. Zajmujemy pierwsze. A wy ciągle: dlaczego Wilczewski drugi, dlaczego? Odpowiadam wam: dlatego! Dlatego, że nie podpisywał kontraktu na zajmowanie wyłącznie pierwszych miejsc. W sporcie, słyszycie mnie? — wrzeszczał jeszcze do telefonu — w sporcie też musi obowiązywać jakaś logika. I, czy mnie słyszycie?, nie mieszajcie kolarstwa z boksem, bo to zupełnie co innego. Wiecie o tym i dziękujecie za naukę? Proszę bardzo, bo — hallo, redakcja? — to się może przydać. Mówię, że m-o-ż-e s-i-ę p-r-z-y-d-a-ć.

Rozumiem oburzenie zdenerwowanego sprawozdawcy. Podobnie jak rozumiałem jego melancholijne westchnienia w NRD po wycofaniu się Elka Grabowskiego, radość po zwycięstwie Króla w Pardubicach i smętne rozważania po fatalnym dla naszej drużyny przedostatnim etapie Brno — Tabor. Można się było w Taborze pocieszyć gotyckimi sklepionymi i wielką urodą kamieniczek na rynku. Można było podziwiać starą basztę grodu Jana Žižki i zdumiewająco natchniony fragment piętnastowiecznej „Pieśni o zwycięstwie pod Domažlicami“, w której husycki kronikarz Wawrzyniec z Brzezowej zapowiadał nadchodzącą epokę dzwonów pokoju i mieczów przetopionych na pługi. Można było wreszcie wypić duży kufel pilzneńskiego piwa. Ale taborski „Pilsen“ był dla naszej drużyny napojem gorzkim i trudnym do przelknięcia. W przeddzień zakończenia wyścigu POLSKO spadała na czwarte miejsce. Wyprzedzały nas DANSKO i BELGIE, a HOLANDSKO znajdowała się co prawda za nami, ale o niecałe siedem minut. W hotelu „Slovan“, gdzie zatrzymali się dziennikarze, przy polskim stole było więc burzliwe i niewesoło. Znalazło się wprawdzie od razu kilku winnych (trenerzy, wóz techniczny — Wyścig bowiem także miewał od czasu do czasu swoje „opowieści o siodełku Rużiczki“), ale nastrój nie należał do podniosłych. Jutro HOLANDSKO mogła nam wlepić 7 minut i pięknie rozpocząć Wyścig zakończyłby się tradycyjnie beznadziejnym piątym miejscem. Później dziennikarze poszli zasięgnąć języka do kierownictwa polskiego zespołu. Niektórzy wracali z tajemniczą miną.

Nazajutrz nastąpiło też na szosie coś takiego, co przypominało Samosierrę. Kiedy starter na zawodników skinął, skoczył Hadasik i ruszył naprzód z Edkiem Kłabińskim. Później dołączyła do nich odsiecz, w której obok Dalgarda i Czechosłowaków jechali Niemytow i Wierszynin, a także trzej Polacy: Króla, Wilczewski i Kłabiński. Czterej w czołówce to była rzecz niezwykła i podnosząca na duchu. W Pradze odbieraliśmy też drugie miejsce w klasyfikacji zespołowej.

— Dlaczego? — denerwował się znowu nasz znajomy sprawozdawca. — Dlatego! (był to widać jego ulubiony zwrot). Dlatego, że pojechali zespołowo i z głową. Frazes? Zaden frazes. Trzeba wam było widzieć, jak w Taborze van Meenen przejechał metę i zsiadł z roweru, a później patrzył to na bramę stadionu, to na zegarek. Kiedy minęły trzy minuty i 22 sekundy, a Dalgarda ciągle nie było jeszcze na bieżni, Belg uśmiechnął się, bo wiedział, że żółta koszulka przechodzi do niego. A dzisiaj? Dzisiaj w Pradze tak samo GIMNASTYKOWAŁ SIĘ Dalgard (w gwarze sportowych dziennikarzy zwrot „gimnastykować się“ zastosoować można, załóżmy od okazji, do każdej niemal czynności). Temu Dalgardowi trzeba było zresztą tylko minuty i 55 sekund, żeby przegonić van Meenena. Ale taktykę, rozumiecie, t-a-k-t-y-k-ę widać przede wszystkim w jeździe zespołowej. Tak jak na etapie Tabor — Praga widać ją było w naszej drużynie.

W tym miejscu rozmowa następowała z reguły wielką pochwałą drużyny czechosłowackiej. Ze jechali przytomnie przez cały Wyścig, że w pełni zasłużyli na tegoroczny sukces i że mieli wyrównany zespół, którego rewelacją jest młody Kubr. Dziennikarze zagraniczni wróżą mu wielką sportową przyszłość, podobnie jak Elkowi Grabowskiemu.

— Pod warunkiem, że go nie przeforsujecie zbyt trudnymi imprezami — dodawali zresztą nieodmiennie i życzliwie. — On będzie świetny w tym Wyścigu za rok albo dwa, ale tymczasem jest za młody, więc uważajcie na niego, bo zniszczycie świetnego kolarza.

Niechaj nie boczą się na mnie sportowi fachowcy za te cytaty mające pozory pedagogicznej interwencji. Nie zamierzam was bynajmniej pouczać, gdyż nie mam ku temu ani żadnego prawa, ani, co ważniejsze, odpowiedniej wiedzy. Powtarzam po prostu to, co wielokrotnie słyszałem na trasie Wyścigu i z czego prawdopodobnie i tak dobrze zdaje sobie sprawę nasze kolarskie kierownictwo. Zapewne z takich przecież powodów postanowiło ono wycofać Grabowskiego po jego upadku na siódmym etapie Wyścigu. Po cóż więc o tym pisać? Dla ciebie, Krzysztofie, i dla ciebie, Tadeuszu, którzy pytacie, jak to właściwie i naprawdę było z Grabowskim.

— Nie martwiecie się — mówiono Polakom w Lipsku — będziecie jeszcze mieli z niego pociechę, tak jak z Wilczewskiego, Kłabińskiego i Króla.

— No tak, no pewnie — mruczał wtedy nerwowo sprawozdawca i rozczyrzał się. A więc tak było naprawdę z Grabowskim, Krzysztofie. Relata refero — jak mówił pewien warszawski plotkarski towarzyski, bardzo poza tym sympatyczny człowiek.

Zasada „relata refero“ skłania mnie również do podzielenia się z tobą kilkoma anegdotami Wyścigu. O kominarzach mówić nie będę, gdyż zarówno Tadeusz Bąkowski jak i jego lipscy koledzy zostali dokładnie opisani przez całą prasę polską i zagraniczną w tzw. migawkach. Mogę do tego dodać tylko to, że na starcie w Lipsku poradził Edkowi Kłabińskiemu otarcie się o kominarza.

— A jak to się robi? — pytało naiwnie to wielkie chłopisko o pocziwych niebieskich oczach.

— No... najlepiej się z nim przywitać...

Edek przywitał się i nawet włożył na głowę lśniący cylinder mistrza kominów.

— Pomogło?

— Zajrz, j do tabel klasyfikacyjnych ósmego etapu. Napisano tam w „Einzelwertung“: 1: — nr 73 — Kłabiński E. — Pol. Frankr...

Dodaję również lojalnie, że następny etap wygrał Edek Kłabiński bez pomocy kominarza. Było to w Bad-Schandau. Zawodnik Polonii Francuskiej miał więc nad Labą dzień miłego i zasłużonego wypoczynku. Spotkali się nazajutrz po jego zwycięstwie na szczycie Bastei. Zawodnicy i dziennikarze ruszyli tam po obiedzie. Jechało się autokarami, ciągle pod górę, piękną szosą, serpentynami. Na górze patrzyliśmy przed siebie urzeczeni czującą krajobrazem. Tuż obok nas, trochę w lewo, spadała pionowo w dół fioletowoszara skala. W dole płynęła Laba, w zachodzącym słońcu błyszczały niewielkie białe statki, punkciki żaglówek i szyby okien na przystaniach. W gęstej zieleni drzew i łąk czerwieni-

ły się dachy domostw. Ta daleka wieś — ktoś wskazał ręką w lewo na dalekie pudełeczka zabudowań — to już Czechosłowacja. Naprzeciw nas, w odległości kilkunastu kilometrów, piętrzyły się oddzielone od siebie trzy wyniosłe i strome szczyty. Były bujnie zalesione i przypominały stąd trzy zielone papachy, pozostawione przez rozdartnionych mitycznych olbrzymów. Wszystkie trzy — Lillenstein, Pfaffenstein i Königstein z jego słynnym zamkiem — można było oglądać z Bastei przez lunetę. Mały Francuz Picot patrzył przez nią trochę zaskoczony. Bardzo podobna luneta zainstalowana jest bowiem na wzgórzu Montmartre, skąd za jednego franka obejrzeć można markantne punkty miasta Paryża z wieżą Eiffila na czele.

— Nigdy przez nią nie patrzyłem — żałował więc Picot podziwiając szczyt Lillenstein. Och, na pewno naprawi to przeoczenie przy najbliższej okazji, ale na pewno też na Montmartrze przypomni mu się wtedy Bastei, gdyż taka jest mechanika ludzkich skojarzeń i nie ma na to żadnej rady. Przecież dopiero wczoraj przechodząc obok winiarni w Dziekance przypomniałem sobie wieczór w lipskiej winiarni Auerbacha. Dziennikarze NKD podejmowali w niej zagranicznych kolegów lampką wina, a ci z gości, którzy nie zapomnieli obejrzeć całego lokalu, dokonali w przyległej izbie niebanalnego odkrycia. W niewielkiej niszy wisi tam pod szkłem rachunek za dwie butelki szampańskiego wina. Sto pięćdziesiąt lat temu wziął je na kredyt Johann Wolfgang Goethe. Czy zapłacił za nie? Podobno nie zapłacił. Ale ten dokument z cyframi i podpisem wart jest chyba o wiele więcej niż dwie butelki szampna. To jest zresztą kalkulacja dla poszkodowanego właściciela winiarni. Dla nas bowiem — czytelników pełnych czci nabożnej — jest rzeczą bezcenną taki dokument wołający o ludzki, a więc najwłaściwszy stosunek do najgenialniejszego nawet poety i pisarza. Nie zapłacony rachunek Goethego, kleks na rękopisie Mickiewicza, opowieści Karola Marksa o ubogim czarnoksiężniku Hansie Rockle — wszystko to, poza urokiem anegdoty, spełnia jakąś rolę istotną i pedagogiczną, o wiele poważniejszą, niż to się w pierwszej chwili wydaje.

A anegdoty Wyścigu? Gdzież one są? Oto one. Kiedy odchodzimy od lunety na Bastei, siadamy w wielkim oszklonym hallu tamtejszego hotelu.

— Ogromna grypa — powiada wtedy sympatyczny dziennikarz ze Stalinogrodu i wszyscy się śmieją.

— Kto prowadzi? — ciągnie dalej stalinogrodczyk — i następuje nowa salwa śmiechu.

Dwa te okrzyki są cytatem z jednego z najbardziej niezrównoważonych ludzi, jakich w życiu poznałem. Należy on do obsługi prasowej, mówi kilkoma językami i pisze felietony o charakterze krajobrazowym. Krótko mówiąc, jest to typowy polski debiutant, a do tego postać godna dobrego pióra, sentymentalno-wybuchowa, łącząca w sobie cechy przedziwnego tupetu i dużej beznadziei. On to wychyla głowę z pędzącego samochodu i na piątym kilometrze trasy ryczy do Boga ducha winnej publiczności owo „kto p-r-o-w-a-d-z-i“, które stało się zawołaniem i hasłem dziennikarzy. On również, mimo woli, wprowadził „ogromną grypę“, kiedy określał swój stan zdrowia po przebytych przebiegniach.

Najwięcej opowieści dotyczyło przecież drużyny hinduskiej, która, choć ostatnia w klasyfikacji, zdobyła sobie sympatię i ogólne uznanie. Opowieści te nie mają też w sobie nic złośliwego. Wiadomo, że Hindusi zbierali na trasie tyle samo okłasków co zwycięzcy i że nie było takiego stadionu, który by na nich nawet przy złej pogodzie nie czekał. W Chorzowie na przykład niebo pokryło się ciężkimi chmurami i rozpadał się gwałtowny deszcz. Wprawdzie zwycięzcy etapu, bracia Kłabińscy, od przeszło godziny odpoczywali już w hotelu „Monopol“ i większość zawodników przejechała już linię mety, ale Hindusi... ciągle jeszcze byli na trasie.

— Dlaczego nie przyjeżdżają? — niecierpliwiło się pięćdziesiąt tysięcy ludzi ociekających wodą. Na pociechę wymyślono też naprędce dwa wydarzenia. Mówiono, że w Koziegłowach hinduska piątka zatrzymała się i zjadła obiad w tamtejszej gospodzie ludowej. Później wsiadli na rowery i pojechali. A kiedy zaczęło padać? O, wtedy schronili się przed deszczem: w Będzinie zsiadli z rowerów i weszli do bramy. Nikt w to oczywiście nie wierzył, ale ludzie uśmiechali się mimo ulew i zgrywali Chakravarty'emu i Dhana Singh'owi owacje. Jaką nieczęsto oglądają trybuny chorzowskiej „Unii“. W kilka dni później o hinduskich zawodnikach rozmawiano przy stole polskiej drużyny.

— Cóż — zastanawiał się Mietek Wilczewski — to jest właściwie ich pierwsza duża jazda. I zobaczycie, że za kilka lat będą bardzo dobrzy...

Z opinią tą zgodzili się wszyscy. Podobnie jak wszyscy zawodnicy i dziennikarze rokuja dużą przyszłość kolarzom radzieckim. Mają świetną kondycję fizyczną i dużą wytrzymałość. Byli jedną z nielicznych drużyn, które przyjechały do Pragi w pełnym składzie. Niemytow i jego koledzy jechali też coraz lepiej z etapu na etap. Umieli zwłaszcza przezwyciężać na trasie tę jedną krytyczną chwilę, którą francuska prasa sportowa nazywa chwilą cierpienia. „Vietto souffre...“. To znaczy, że gdzieś na 150 kilometrze Vietto cierpi. Wychodzi z rytmu, coś mu dokucza, może ciąży mu nogi niezmordowanie naciskające pedały, może boli go żołądek... Człowiek przejeżdżający linię mety zawsze ma już za sobą pierwsze zwycięstwo: zwycięstwo nad chwilą własnej słabości.

„Vietto est de nouveau en tete...“. Znowu jest więc w czołówce i, zmieniając prowadzenie z towarzyszącymi mu kolarzami, pędzi, ku stadionowi. Tam kilkadziesiąt tysięcy ludzi powstanie z miejsc i rozlegną się burzliwe oklaski. I będzie to nie tylko nagroda za zwycięstwo, ale również za wytrzymałość — pierwszą cechą dobrego kolarza.

Dokończenie nastąpi

Minione niedawno stulecie urodzin wielkiego malarza holenderskiego — Vincenta van Gogha, uczczone zostało przez Światową Radę Pokoju i cały świat kulturalny.

Van Gogh rozpoczął malować dopiero w latach 30-tych swego życia. Do tego czasu był misjonarzem i działał wśród górników kopalni Borinage w Belgii. Stykał się tam blisko z nędzą i niedolą robotników i chłopów, usiłował użyć ich losowi wszelkimi dostępnymi mu środkami. W wyniku czynionych mu szkan porzucił misjonarstwo i zajął się wyłącznie malarstwem.

Pierwsze jego obrazy z tego okresu są wybitnie realistyczne i ukazują życie i trud holenderskich chłopów i robotników. Przez pewien czas maluje w rodzinnej Holandii, potem we Francji.

VINCENT VAN GOGH

-do siostry

Wilhelmina była z sióstr Van Gogha jedyną, z którą utrzymywał korespondencję. Zachował się poważny zbiór jego listów do brata Theo. Ostatnio — opublikowano wybór listów artysty do ulubionej siostry. Jeżeli Vincent opowiada siostrze o swojej pracy, to dlatego, że Wilhelmina interesowała się nią i w miarę swoich możliwości starała się być oparciem moralnym dla brata wiodącego bardzo ciężki żywot.

Korespondencja między Vincentem a Wilhelminą zaczęła się jeszcze w latach ich wczesnej młodości i trwała do ostatnich dni życia artysty, gdy porzuciwszy słoneczne Arles przenosi się na północ, do Auvers-sur-Oise. Tam, 23 lipca 1890 roku, w ostatecznym wyczerpaniu nerwowym, zniechęcony do życia, popełnia samobójstwo.

Listy do Wilhelminy zbliżają do nas wielkiego malarza i pozwalają poznać głębię i szlachetność uczuć człowieka, który „malował słoneczniki przez wdzięczność”.

Oto kilka fragmentów listów Vincenta do Wilhelminy.



Słoneczniki.

Olej. 1888

Arles, 30 kwietnia 1889.

...Jadę na trzy miesiące co najmniej do zakładu w St. Remy. Miałem w sumie cztery ataki, podczas których zupełnie straciłem świadomość tego, co mówię, czego chcę i co robię. Pomijam już fakt, że przedtem zemściłem trzy razy bez specjalnego powodu — przy czym nie pamiętam zupełnie, co wtedy odczuwałem...

To sprawa poważna, chociaż od tego czasu bardzo się uspokoiłem i fizycznie czuję się świetnie. Ale nie mam jeszcze dość siły, żeby zabrać się do malowania w pracowni. Pracuję jednak i skończyłem właśnie dwa obrazy: próbowałem namalować szpital. Jedno płótno przedstawia salę, bardzo długą salę z rzędami łóżek o białych firankach, za którymi mającą postacie chorych. Sciany, belkowany sufit — wszystko jest białe białą fioletową lub zielonkawą. Tu i ówdzie okna z różowymi albo jasnozielonymi firankami. Posadzka jest z czerwonych cegieł. W głębi drzwi, nad nimi krucyfiks. Wszystko to jest bardzo, bardzo proste. Drugi obraz — jakby dopełnienie pierwszego — przedstawia wirydarz: dokoła krzątanek z arkadami jak w arabskich budowlach, białony wapnem. Przed krzątanek — staroświecki ogród z sadzawką pośrodku i ośmioma rabatami niezapominajek, róż, anemonów, jaskrów, lewkonii, stokrotek... A pod arkadami — pomarańcze i oleandry. Jest to więc obraz pełen kwiatów i wiosennej zieleni. Przecinają go jak węże trzy czarne i smutne pnie drzew, a na pierwszym planie — cztery smutne krzaki ciemnego bukszpanu. Tutejsi ludzie nie doszukują się w tych moich płótnach niczego wielkiego, ale przecież zawsze było moim tak wielkim pragnieniem malować dla tych, którzy nie potrafili się poznać na artystycznej stronie obrazu. Cóż Ci powiedzieć? Nie znasz rozmowy mistrza Panglossa w „Kandydzie” Woltera, ani tym bardziej Bouvarda i Pécucheta Flauberta — to są książki pisane przez mężczyzn dla mężczyzn i wątpliwe, czy kobiety potrafią je zrozumieć. Ale wspomnienie tych książek podtrzymuje mnie często na duchu w ciężkich godzinach dni i nocy nie do pozazdroszczenia.

Przeczytałem z największą uwagą jeszcze raz „Chatę Wujka Toma” Beecher Stowe. Właśnie dlatego, że jest to książka pisana przez kobietę i to, jak powląda autorka, podczas przyrzadzania zupy dla dzieci. Przeczytałem również uważnie „Opowieść Wigilijską” Dickensa. Czytam mało, aby więcej rozmyślać. Pewnie dużo jeszcze będę musiał cierpieć. Mówiąc szczerze, wcale mi to nie dogadza, gdyż w żadnym wypadku nie pragnę być męczennikiem. Zawsze szukałem czegoś innego niż bohaterstwa, które podziwiałem u innych, sam nie będąc bohaterem. Bohaterstwa, powtarzam, ani nie poczytuję sobie za obowiązek, ani też nie jest ono moim ideałem.

Nie przeczytałem po raz wtóry znakomitych książek Renana, ale tutaj, gdzie rosną drzewa oliwowe i inne rośliny tak typowe dla miejscowego krajobrazu, często zastanawiam się, jak dalece racie miał Renan, jak pięknie mówi on o swoich dziełach owym francuskim językiem, w którego brzmieniu słów jest błękit nieba, i łagodny szelest drzew oliwnych. I tysiąc rzeczy prawdziwych i wymownych, które nadają jego opowieści tę odradzającą siłę. Jedną z najsmutniejszych rzeczy, jakie znam, są przesady i uprzedzenia ludzi, którzy z góry przesyłają tyle dobrych i pięknych dzieł, stworzonych w naszych czasach. Ach, wieczna „ciemnota”, wieczne nieporozumienia. Jak dobrze wreszcie znaleźć słowa naprawdę pogodne...

Auvers-sur-Oise, czerwiec 1890 r.

Moja kochana siostrzo! Dawno już powinienem był odpisać na dwa Twoje listy, ale praca i mnóstwo nowych wzruszeń sprawiły, że do dziś odkładałem to z dnia na dzień.

Rad jestem, że pielęgnowałaś chorych w szpitalu Wallon. Zapewne w ten sposób można się wiele nauczyć i to rzeczy potrzebnych. Sam żałuję, że nie o tym nie wiem, a w każdym razie za mało.

Jeśli idzie o mnie, to podróż i w ogóle wszystko przeszło, jak dotąd, porażenie, a powrót na północ bardzo mi dobrze zrobił. Znalazłem zresztą w doktorze Gachet prawdziwego przyjaciela i jakby nieznanego dotąd brata, tak dalece podobni jesteśmy do siebie fizycznie i moralnie. Jest to bardzo nerwowy człowiek i wielki dziwak. Wyświadczył, w miarę swoich możliwości, dużo przysług i okazał wiele przyjaźni artystom nowej szkoły.

Niedawno namalowałem jego portret, będą

też malował portret jego dwunastoletniej córki. Kilka lat temu doktor Gachet stracił żonę i to go w znacznej mierze zlamalo. Stał się przyjaźliwym, jak to się mówi, od pierwszego wejrzenia. Jeden lub dwa dni w tygodniu będę pracował u niego w ogrodzie. Zrobiłem już dwa szkice tego ogrodu — jeden z roślinnością południa: aloesem, cyprysem, deszczownikiem; na drugim — białe róże, winorośl, jakaś postać i bukiet jaskrów. Mam poza tym jeszcze większy obraz przedstawiający kościół wiejski. W tym ujęciu budynek wydaje się prawie fioletowy na tle błękitnego i czystego błękitu nieba o barwie czystego kobaltu. Szyby okien wyglądają jak płamy ultramaryny, dach jest fioletowy a częściowo pomarańczowy. Na pierwszym planie trochę zieleni i kwiatów i nasłoneczniony, różowy piasek. To bardzo przypomina szkice starej wieży i cmentarza, które robiłem w Neunen, tylko teraz kolory są prawdopodobnie bardziej nasycone, bogatsze.

W ostatnich czasach, w St. Remy, pracowałem jak opętany — zwłaszcza nad bukietem kwiatów — róż i fioletowych irysów. Przywiozłem dla małego synka Thea i Jo dość duży obraz, który powiesili nad fortepianem. Są na nim białe kwiaty drzewa migdałowego — wielkie gałęzie na tle ciemnego błękitu nieba. Theo i Jo mają też u siebie nowy portret Arleżjanki.

Mój przyjaciel doktor Gachet jest zdecydowanym entuzjastą tego ostatniego portretu Arleżjanki, którego jedną wersję zachowałem także dla siebie. Zachwyca się też moim autoportretem. Sprawia mi to wielką przyjemność i skłoni mnie do malowania twarzy, a mam nadzieję, że doktor znajdzie kilka ciekawych modeli. To, co mnie najbardziej pasjonuje, o wiele, wiele bardziej niż wszystkie inne w mojej pracy — to portret, współczesny portret. Szukam go poprzez kolor i na pewno nie jestem pierwszy, który szuka na tej drodze.

Daleki jestem od tego, żeby twierdzić, że potrafię to wszystko zrobić — ale dążę do tego. Odtąd chciałbym malować portrety, które za sto lat dla ludzi owych czasów będą niby zjawiska. Nie chcę osiągnąć tego przez fo-

tograficzne oddanie podobieństwa, ale przez umiejętność wyrazu, używając dla wyrażenia charakteru całej naszej dzisiejszej wiedzy o operowaniu kolorem.

Dlatego doktor Gachet ma na portrecie twarz koloru przepalanej i brunatnej cegły, rude włosy i białą czapkę, na tle pejzażu z błękitnymi pagórkami w głębi. Ubranie jego ma kolor ultramaryny. Wszystko to razem podkreśla barwę twarzy, która wydaje się bledsza, chociaż jest ceglasta. Ręce doktora Gachet, te ręce akuszerza, są bledsze od twarzy. Przed nim na stole — żółte książki i jeden ciemnopurpurowy kwiat naparstnicy. Mój autoportret jest podobny. Błękit jego — to subtelny błękit południa, a ubranie jest jasno lila. Portret Arleżjanki ma ton bezbarwnego i matowego ciała, oczy są spokojne i szczerze, suknia czarna, tło różowe, łokiec opiera na różowym stole, na którym leżą różowe książki. W portrecie Arleżjanki, który ma Theo, suknia jest różowa, tło blade-żółte, a z rozchylonego przodu stanika wysuwa się muślin koloru białego, który przechodzi w zieleni. We wszystkich tych jasnych kolorach tylko włosy, brwi i oczy tworzą czarne plamy...

Na wystawie jest wspaniały obraz Puvis de Chavannes. Postaci ubrane są w jasne szaty i nie wiadomo, czy są to stroje współczesne, czy kostiumy antyczne. Po jednej stronie obrazu — dwie kobiety zatopione w rozmowie, po drugiej — artyści. Pośrodku kobieta z dzieckiem na ręku zrywa kwiat jabłoni. Jedna postać jest koloru niezapominajek, druga jasnocytrynowa, jeszcze inna blade-różowa, inna znów biała, a jeszcze inna — fioletowa. Ziemia upstrzona jest białymi i żółtymi kwiatkami. W błękitnej dali białe miasto i rzeka. Cała ludzkość, cała uproszczona przyroda. Tak piękna, jaką by mogła być, jeśli nią nie jest.

Jeszcze raz dziękuję za Twoje listy. Do szybkiego zobaczenia.

Całuję Cię w myślach Twój VINCENT

Wybrała i tłumaczyła z francuskiego

ANITA LEYFELL



Panna Gachet przy fortepianie. Rysunek. 1890

ŁÓDZKI „LAS”



Jadwiga Chojnacka — jako Raisa Gurmyska i Leon Niemczyk — jako Aleksy.

Ostrowski, to skarbnica literacka dla każdego teatru. W komediach jego przeważa satyra obyczajowa, ale są w nich także sceny liryczne i dramatyczne.

W „Lesie” przez pięć aktów oglądamy w lustrze satyry życie bogatej właścicielki ziemskiej Raisy Gurmyskiej i jej otoczenia. Widzimy, jak ta przekwitająca kobieta za pomocą pieniądza zdobywa miłośników depcząc i deprawując najbliższe otoczenie.

Ale obok groźnej rzeki wzburzonych namiętności Raisy płynie w „Lesie” czysty strumień miłości jej młodej kuzynki Aksjuszy. Aksjusza nie może połączyć się z ukochanym, ponieważ nie ma wymaganego w tym świecie posagu. Zachwyca nas mistrzostwo, z jakim autor bezpośrednio po głębo-kich przeżyciach wywołanych scenami lirycznymi, potrafi w paru kwestiach wprowadzić nas z powrotem w świat komedii — w świat śmiechu i krytyki. Rozumiemy doskonale, że dla carskich urzędników śmiech na sztukach Ostrowskiego brzmiał „podejrzanie”, ponieważ był to śmiech, który burzył stęchłą starzyzną ówczesnego świata i wybił okno na świeży powiew wolności człowieka. Zły świat oglądamy w „Lesie”, świat kapitalizmu, drapieżny, chciwy, wyzyskujący i pozerający się nawzajem; „jak w dzikim lesie” — powie o tym świecie wędrowny aktor, zanim obdarzywszy posagiem Aksjuszę, z pustką w kieszeni a pogardą dla tego świata odejdzie w swoją drogę wiodącą.

Łódzki Teatr Powszechny ma dane na to, żeby wystawić „Las”; ma do tej sztuki dobrą obsadę. Jadwiga Chojnacka jest do roli Raisy jakby stworzona. Jej bujna dojrzałość doskonale pozwala nam wierzyć, że ta „kobieta po czterdziestce”, na owe czasy „stara” — jest tym przysłowiowym „piecem, w którym diabeł pali”. Przy tym Chojnacka świetnie cieniuje i stopniuje swoją rolę. Jest i zabawna, i groźna, i odstręczająca, i miła...

Z początku w miarę roztargniona, a w miarę zajęta taną filantropią — w lekkiej, kokieterijnej żalobie i z nieodstępnym kosszyczkiem z pieniędzmi w ręku — zaledwie zaznacza swoją niewygasłą kobiecość. Następnie nocą w ogrodzie w szlafroku „pryzucunom” koronkowym szalem, jest już śmieszna — wabiąca jak drapieżna samica. A kiedy w następnym obrazie schodzi rano ze schodów i witając się z Aleksym przeciąga się i łasi — Raisa jest zabawna, ale sytuacja jest groźna — wiemy już, że ten chciwy i brutalny młokos w ciągu nocy stał się faktycznym panem tego domu. Wreszcie stopień ostatni — na scenę wchodzi wystrojona w lila-róż szatę, ogłupiała namiętnością czterdziestokilkuletnia kobieta i wdzięcząc się oświadcza otoczeniu, że wychodzi za mąż za dwudziestoletniego chłopca... I aż zanosi się z zachwytem nad „szczęściem”, które znalazła...

A „szczęście” zdążyło już zrzucić mundur gimnazysty i wdziać nowe, przez „narzeczoną” sprawione ubranie; wystrojony Aleksy jedną rękę kładzie na oparciu fotela, w którym siedzi Raisa przyjmując życzenia i gratulacje, a drugą ręką trzyma jej koszyczek z pieniędzmi, którym lekko kotysze.

„Las” to podwójny sukces Chojnackiej. sukces aktorki i sukces reżysera.

Aksjuszę gra Celina Klimczak. Ma ona do tej roli wyjątkowo dobre warunki, a więc: prostotę, skromność i pewną surowość. A przy tym jak potrafi być głęboko liryczna!

Również dobrze obsadzony jest w roli studenta Aleksiego Leon Niemczyk. Nie jest to chłopczyk, ale właśnie młody dryblas, młody mężczyzna, o którym mówi Ostrowski, że za długo siedział w każdej klasie. Aleksy jest równie śmieszny jako naiwny chwielec, kiedy nie może uwierzyć „szczęściu”, że go sobie upatrzyła bogata dziedziczka — jak groźny — wtedy, kiedy wylazi z niego przyszyty tyran całego domu.

Cała zresztą obsada na ogół dobra, udane są również dekoracje i kostiumy.

JANINA PIASKOWSKA

CIEMNE STRONY PIĘKNEGO FESTIWALU

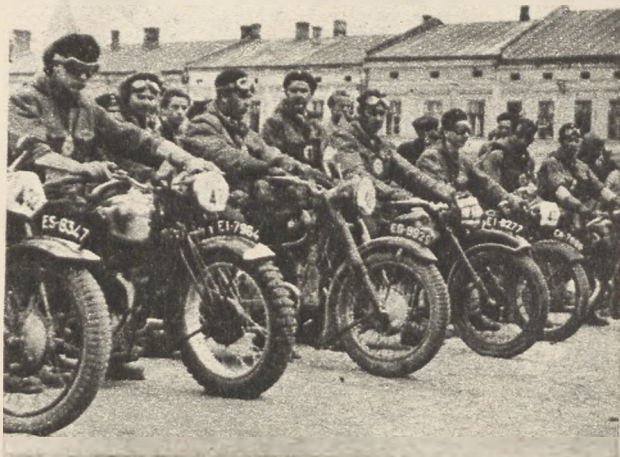
Ogólnopolski Festiwal Turystyczny (4-6.VI.1954 roku) zgromadził na starcie 67 drużyn wodnych, 221 drużyn górskich, 41 drużyn kolarskich. Niestety, nieprzychylna niespodzianką dla motorowców było nieprzyznanie im 50% zniżki na benzynę, o którą starał się PZM. Skutek był taki, że, zamiast kilkuset motorowców, na starcie stanęły 52 osoby, to jest kilkanaście zaledwie drużyn.

Przy organizowaniu następnego Festiwalu warto byłoby zwrócić uwagę na takie sprawy,

jak zaopatrzenie punktów etapowych dla motorowców i kolarzy w skromny chociażby sprzęt, jak zasadnicze części wymienne do rowerów, np. łańcuchy, pedały (ale nie tylko lewe, jak np. zrobili to sklepy w Szczawnicy), ośki itp., motorowcom zaś umożliwić nabycie tańszej benzyny.

Również bary mleczne mogłyby utworzyć punkty sprzedaży na niektórych punktach kontrolnych.

Jerzy Dąbrowski, N. Sącz



Za chwilę ruszamy! Kierunek Szczawnica

TEŻ JUBILEUSZ

Niecodzienny jubileusz będzie obchodzić w tym roku jeden z częstochowskich obiektów kultury. Dziesięć już bowiem lat upływa od chwili, gdy Częstochowskie Obserwa-

torium Astronomiczne stoi zamknięte na „cztery spusty”, mimo że posiada teleskop i sprzęt potrzebny do badań obserwacji oraz zegar słoneczny.

Obserwatorium to, przekazane przez Prezydium MRN Krakowskiemu Towarzystwu Miłośników Astronomii, miało być uruchomione 1 maja 1953 roku i jak dotychczas jest niedostępne dla publiczności.

W pewnej części Obserwatorium w dalszym ciągu mieszczą się podręczne magazyny Miejskiego Przedsiębiorstwa Ogrodniczego, a teleskop i pozostały sprzęt niszczyli niezabezpieczeni.

Towarzystwo (podobno) Miłośników Astronomii nie przejawia — jak widać — ani miłości do astronomii, ani litości dla częstochowskich entuzjastów planet.

J. K., Częstochowa

A WIĘC PROSTUJEMY

W nr 20 „Świata” z dnia 16.V.54 r. ukazała się notatka i zdjęcie z pierwszej rękoma w Polsce gdyńskiej opery dziecięcej pt. „Wilki i koźlęta”, radzieckiego kompozytora G. Kompaniejca.

Otóż my — grono nauczycieli Państwowej Szkoły Muzycznej w Rzeszowie, pragniemy tę wiadomość sprostować. Pierwszą imprezą tego rodzaju w Polsce było wystawienie opery dziecięcej, skomponowanej przez naszą koleżankę Bogusławę Ilgner, pt. „Czarodziejski kwiat” — w Rzeszo-

wie. Prapremiera tej opery odbyła się dnia 14.IV.1953 r. Wystawiono ją 13 razy, przy zawsze wypełnionej sali.

Dowodem uznania dla pionierskiego Zespołu było odznaczenie kompozytorki kol. Bogusławy Ilgner Złotym Krzyżem Zasługi, zaś dyr. Tomasza Czapli, wicedyr. Jana Wołowca i kol. Tomasza Pałki — którzy tę operę zinstrumetowali, Srebrnymi Krzyżami Zasługi.

Za Grono Nauczycielskie Wład. Durska, Rzeszów



Fragment pionierskiej opery dziecięcej w Rzeszowie

W Gnieźnie otwarto stałą wystawę, pt. „Gnieźno i Ostrow Lednicki w świetle wykopalisk”, ściągającą wielu zwiedzających.

Przed kilku jeszcze laty były możliwości stworzenia w Gnieźnie muzeum, które skupiłoby w swoich murach bogate zabytki kultury naszych przodków z okresu kształtowania się państwa polskiego. Możliwości te wynikały nie tylko z obfitości znalezisk na „Górze Lecha” czy „Ostrow Lednickiego”, ale i z ofiarnej pracy zespołu badawczego Stacji Gnieźnieńskiej i poważnej dotacji finansowej władz centralnych.

Niestety, możliwości te zostały pogrzebane przez ówczesne władze miejscowe, które nie znalazły ani nie dopomogły do znalezienia jakiegoś lokum dla muzeum. Sku-

tek jasny. Zamrożone pieniądze ministerstwo przeznaczyło na inne cele, a muzeum w Gnieźnie nie powstało.

Mimo to badania rozwijały się nadal, pojawiło się na temat Gnieźna i Lednickiego Ostrowu kilka cennych rozpraw naukowych, rosły zbiory wykopaliskowe, które „dusiły” się w ciasnych pomieszczeniach pracowni.

O Gnieźnie zapomnieli jednak nie tylko władze miejscowe, czego dowodem jest zupełnie pominięcie Ostrowu Lednickiego i Gnieźna w zeszłorocznym obchodzie tysiąclecia Poznania. W ogóle Gnieźno odrywane bywa od Poznania, jak gdyby leżało ono za niebotycznymi górami i nie miało nic wspólnego z Poznaniem. Chodzi tu przede wszystkim o cykl rozmaitych popularnych artykułów, u-

ZE SZTUKĄ NA WIEŚ

Ileż radości jest na wsi, gdy w świetlicy, czy nawet w załupimowizowanej naprędce włodni można oglądać występy artystyczne.

Jak dumni są amatorscy aktorzy, wywołujący żywą reakcję publiczności — mogą powiedzieć studenci Uniwersytetu Łódzkiego, którzy biorą czynny udział w pracy ekip łączności i często wyjeżdżają na wieś z bogatym programem artystycznym.

Ostatnim osiągnięciem studentów UŁ jest opracowanie komedii Aleksandra Korniejczuka „Kalinowy Gaj”, z którą wyjeżdżają często na wsie woj. łódzkiego.

Zespół dramatyczny UŁ ponadto zgłosił się ochotniczo do wyjazdu na akcję żniwną.

W. Barański, Łódź



Studenci filologii T. Kozłowski i K. Lebkówna w III akcie „Kalinowego Gaju”



Stanisław Kazimierzczak po raz pierwszy w życiu pali fajkę. — Czego nie robi się dla sztuki...

PIĘKNY JEST KIELECKI DOM KULTURY

Wielki i piękny gmach Domu Kultury w Kielcach mieści obszerną czytelnię, salę gimnastyczną, widowiskowo - kinową, gabinety pracy kulturalno - artystycznej itp.

Bogata biblioteka, czytelnia zaopatrzona obficie

W ramach odczytów poruszano takie tematy, jak: „Pawłow i jego nauka”, „Historyczne podłoże przyjaźni polsko - radzieckiej” itp.

Do ciekawszych odczytów organizowanych przez Gabinet Techniczny należały n.



w różne czasopisma, gabinety dysponujące licznym, różnorodnym sprzętem — stanowią bazę, na której można opierać poważną pracę kulturalną.

Nie tylko wyposażenie Domu decyduje o jego atrakcyjności. Również liczne imprezy i wystawy organizowane w pięknym Domu przez jego kierownictwo ściągają rzesze kielczan.

Dużym powodzeniem cieszyły się m. in. wystawy obrazujące ruch zawodowy w Polsce Ludowej, osiągnięcia gospodarki narodowej, sukcesy polskiej radiotechniki; ciekawe było spotkanie z racjonalizatorami i przodownikami pracy, m. in. z Sajem, autorem hasła: „Ja nie wypuszczę braku”.

in. „Szybkościowa obróbka metali” oraz „Jak walczyć o oszczędność paliwa”.

Dział techniczny zorganizował również dwie wystawy: „Łączność w służbie mas” i „Książka techniczna podnosi kwalifikacje zawodowe”.

W Kieleckim Domu Kultury czynne są także poradnie dla młodzieży wybierającej kierunek studiów oraz gabinety: wiedzy marksistowskiej, pracy związkowej i konsultacyjny dla wykładowców.

Energiczną działalność przejawia także klub szachistów, Teatr Lalek i dziecięcy zespół teatralny.

Obecnie wszystkie zespoły żyją przygotowaniem do uroczystości obchodu X-lecia Polski Ludowej.

W. Mroczo, Lublin

WYDOBYTO Z ZAPOMNIENIA



Wyroby kościane i rogowe

tworów czy innych przyczynków o Poznaniu podawanych bez wymieniania Gnieźna i okolicy.

O naszym ośrodku materialnym wczesnego średniowiecza było więc cichutko, tak cicho, że nawet rodowici gnieźniacy nie wiedzieli i nie wiedzą, na jakich warstwach kulturalnych leżą fundamenty gnieźnieńskich domów.

Stwierdzenie to nie jest bynajmniej przenośnią. Oto przykład: przy kopaniu fundamentów przy ul. Chrobrego i ul. Stalina znaleziono cenne wykopaliska, z których

nie wszystko udało się uratować.

Prof. dr Zurowski, kierownik Stacji Wykopaliskowej, dyskutował wielokrotnie na temat wystawy, jednak wskutek różnych trudności odroczało się ją wielokrotnie; dopiero zobowiązanie całej załogi Gnieźnieńskiej Stacji Archeologicznej doprowadziło do jej otwarcia.

Początek zrobiono. Wystawa została otwarta, zwiedza ją wiele wycieczek i osób zainteresowanych.

mgr. M. Rafiński
fot. W. Gabrych

FOTOGRAFIA NA CODZIEN

JAK ŚWIAT WAS PODPATRZYŁ

Obraz życia miejskiego w fotografii — to przeważnie perspektywa ulicy, mniejszy lub większy tłum przechodniów, tramwaje, autobusy, auta...

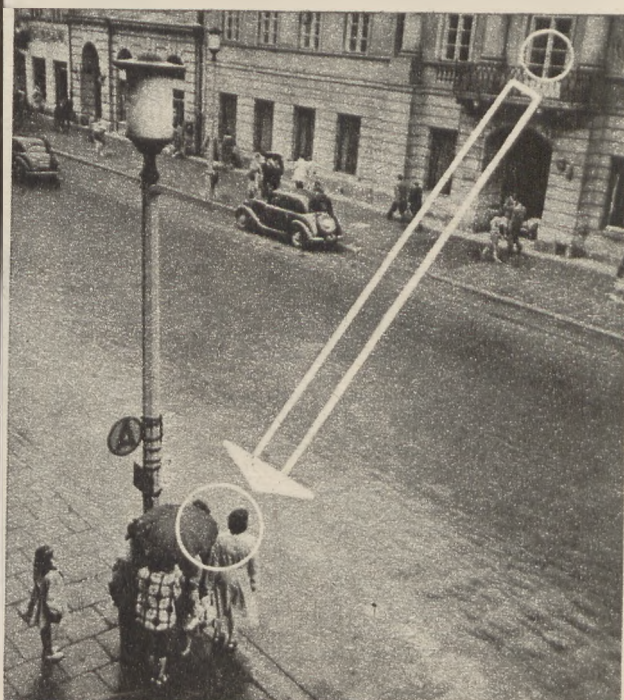
Takie fotografie — zazwyczaj statyczne i nie zawsze interesujące — nieraz ukazują się w naszej prasie.

A przecież wydobyć można bogactwo scen i sytuacji, istnieją możliwości pełnego pokazania człowieka w działaniu w różnych momentach: wesołych, dowcipnych, wzruszających.

O to właśnie chodziło naszej redakcji, gdy w numerze 24 tygodnika „Świat” zamieściła na ostatniej stronie 8 zdjęć przedstawiających obrazy z ulicy.

Pomysł ten był widocznie słuszny, gdyż do redakcji nadeszło sporo listów od Czytelników zapytujących o te zdjęcia. Jedni uważają, że strona ta była interesująca i dowcipna, inni rozpoznają na zdjęciach siebie lub swych znajomych, jeszcze inni chcieliby wiedzieć, w jakich warunkach technicznych zostały one wykonane. Byli też i tacy, którzy się skarżyli na nieporozumienia rodzinne wywołane tymi zdjęciami... Być może, że zasugerowały ich podpisy, komentujące podpatrzone scenki. Ale podpisy te zrodziła przecież fantazja ich autora i — rzecz oczywista — nie zawsze zgodne były z uczuciami i przeżyciami ludzi fotografowanych. Autor mógł się tylko domyślać dlaczego ziewa znany grafik Henryk Tomaszewski lub co oznacza spojrzenie, którym obrzuca młodą dziewczynę stojącą na brzegu chodnika człowiek. W istocie mogło być inaczej, niż wyjaśnia komentarz. A skąd się wzięły zdjęcia?

Ktoregoś pięknego dnia nasz fotoreporter zainstalował się z aparatem „Primaflex” 6 x 6 na pierwszym piętrze domu przy ul. Nowy Świat 47, który właśnie widać na zdjęciu. Skierował aparat z obiektywem o ogniskowej 32 cm, przysłonie F 10 i migawce 1/100 sek. na przystanek na drugiej stronie ulicy odległy o około 25 m i obserwował. Ciekawsze momenty „łapał” na kliszę. I tak narodziła się kolumna, o którą pytaacie.



SMUTNE O HUMORYSTACH

(z Włodzimierza Majakowskiego)

Gdzież wy,
dawne zawadiaki?
Dać by w łeb!
Wycisnąć łzę by!
Nasz satyryk
stał się taki,
jakby stracił
wszystkie zęby!
Tam, gdzie wszelkie
draństwo knowa,
dla satyry
dość jest pola.
dla takiego
Satytkowa —
Satytkowa i Gogola.
Pchając
tłusty druk w tytuły,
Żeby ukryć
mózdzek
tępy,
po gazetach
się rozsunął
przedwojenne
głupie
klempy.
Płaszcz
każdy uśmiech wiotki,
sklepikarzy
strasząc z rzadka,
krążą smutne anegdotki
o domiarach
i podatkach.
Nasz satyryk,
płaczliwi bliscy,
zapisuje
kartek
furę,
opisując
swe odciski
od ucisku przez cenzurę.
Że w najlepszym stylu,
pono,
niby
kwiatów bujne kiście,
swym talentem by
zapłonął,
bez cenzorów,
oczywiście!
Lecz skasujcie
im granice —
a już tych pismaków
stada
tworzą
tylko nędzne witze,
po czym
cisza znów zapada.

Na cenzorów
każdy psioczy,
a ja myślę:
oni biedni,
jakżeż
niszczą
sobie oczy,
gdy czytają
tyle bredni?
Satyryku,
porzuć schemat,
życie
samo
temat poda.
A gdy znajdziesz dobry
temat,
skruszyć na nim ząb
nie szkoda.
Wielkich
durniów
szukaj
z lupą,
gdzie półgłówek.
Czyż jest mało
pompadurów?
Czyż jest mało
Pipidówek?
Masz truciznę?
Dawaj tu ją!
Jadowitej
zmii
zgryz miej
przeciw
wszystkim,
co żerują
dzień po dniu
na komunizmie.
Zanim ci się z ręką
wywinie,
zwawo łap
miętusa w błocie!
Nie przepuszczaj
wazelinie,
biurokracji
i głupocie.
Ale stracił
widać zęby
nasz satyryk bylejaki.
Dać by w łeb!
Wycisnąć łzę by!
Gdzież wy,
dawne zawadiaki!



SATYRA

na stronie

POD REDAKCJĄ JANUSZA MINKIEWICZA

17



LEON PASTERNAK

PRZYŚPIEWKI POZAGROBOWE

Kilka wódek się wypilo,
kilka kobiet... o tym cyt...
kilka zdań nagryzmoliło,
no i z życiem jest się kwit.

Cieszą wszyscy się wrogowie,
że nareszcie nadszedł dzień...!
Nawet żona myśli sobie:
neurastenik był i leń...

Leżę sobie w cichym grobie,
gdzieś nade mną gwiazda
lśni...
Już robaczek pięć skrobie...
— Apetytu życzę ci...

Gryź mnie, gryź mnie, mój
robaczku,
nim mnie wessie korzeń,
łść...
Tyle gryzio mnie za życia,
ktoś po śmierci musi gryźć.

ZE WSPOMNIENIEN SATYRYCZNYCH

WSPOMNIENIE O RYMELIKACH

LATO 1936 spędzałem w wiejskim dworze pp. Piwnickich, właścicieli majątku Sikorz, niedaleko Płocka. Nigdy nie zapomnę tego pobytu, ponieważ równocześnie gościł w Sikorzu Julian Tuwim. Rankami pisał wtedy „BAL W OPERZE“, a po obiedzie nieraz czytał mi przybyłe strofy. Po kolacji natomiast następowała „działalność rozrywkowa“. Tuwim zasiadał przy kawie za okrągłym stołem w gronie młodzieży i stawał się uczestnikiem rozmaitych gier umysłowych, a więc rebusów, szarad, zagadek. Kiedyś znudzeni jakąś przedłużającą się grą „w inteligencję“, wymyślił nową zabawę. Jako że w owym okresie tłumaczyłem słynne angielskie „limeryki“, postanowiliśmy napisać kilka polskich, nadając im nazwę „rymeliki“.

Pisze o tym Tuwim na 26 stronie książki „Pegaz dęba“. „...Nasze obłąkane strofy powstały w upalne lato roku 1936, gdyśmy razem spędzali wakacje. Upał był tak straszliwy, że... Słowem, oto one:

Fragnąć kurczęcia, pewien burmistrz
Przypuścił do kucharki szturm i strzelił jej w brzuch. Ta
Odrzekła kuchta:
„Gdy kurcząt chcesz, to się do kur mizdrz“.

Raz pewien młody ichtiozaur
Był na wystawie „Des Beaux Arts“,
Gdy spojrzał na dzieła,
Ochota go wzięła,
By pożreć je wszystkie. I pożarł.

Pewien w portowym barze mixer
Wymawiał stale zamiast „x“ — „r“,
Gdy pewien lord-nabab
Uzyskać chciał rabat,
Rzekł: „Prir fir, Sir“, zamiast „Prix fixe, Sir“.

Tuwim wymienia w „Pegazie dęba“ tylko powyższe „rymeliki“. Ponieważ było ich więcej — przytaczam wszystkie pozostałe:

Raz Anglik w Polsce chory był,
Choć zdrowy do tej pory był;
Bo wódkę i rum pił:
Okropnie się umpił,
Nazywał się Bloompill. It's horrible.

Raz bokserowi w Hollywood
Bok (mimo jego woli) chudł.
Rzekł doktor: „Dear bokser,
Tak chudnie twój bok, Sir,
Bo pan za dużo goli wód“.

Mówiąc: „Ma wado, się nie pełń“
Wyjechał pewien na step leń.
Rzekł, w dziką wjechawszy głąsę:
„Tutaj do pracy się zmuszę“
Głos mu rzekł z głąsy: — „Nie sepełń“

Były trzy Lizy. Raz a propos Liz
Powiedział ktoś na Akropolis:
„Lubią słuchać owe panie,
Gdy lis gra na fortepianie,
Zwłaszcza, gdy allegro gra non troppo lis“.

Był anemiczny raz hipochondryk,
Co wielki miał do cudzych żon dryg.
Wtem przyszło fiasco:
W łeb dostał laską,
Ogromny przeto powstał stąd ryk.

Większość tych „rymelików“, mistrz z czeladnikiem, pod pseudonimami Zenon Pseudaq i Jan Uszminkiewicz, wydrukowaliśmy niedługo potem w „Szpilkach“ z komentarzami, których już nie przytaczam, bo były mojego tylko pióra.

Kończę tę notatkę apelem do innych współtowarzyszów literackich zabaw Tuwima, aby starali się wszystkie nieznane perły i perełki fantazji poety — ocalić od zapomnienia.

JANUSZ MINKIEWICZ

KONIEC KARIERY KAŻMIERCZAKA

WIESŁAW BRUDZIŃSKI

— Ja bym chciał przytoczyć dane. na dowód, że to, co nam mówi towarzysz minister w sprawie mechanizacji, nie jest pustym frazesem...

— Ale ja jeszcze nie skończyłem, towarzyszu Kaźmierczak, proszę mi nie przerywać. Poczekajcie chwilę.

— A, to przepraszam, towarzyszu ministrze, w takim razie ja poproszę o głos, gdy skończycie...

II

— Słyszeliście? Dyrektor Kaźmierczak naraził się ministrowi Piątkowi.

— Co wy mówicie?

— Tak jest. Nikt się nie spodziewał, a ten wyskoczył nagle z jakimiś danymi na dowód, że wywody ministra nie są, jak się wyraził, „pustym frazesem“.

I co na to minister?

— Był wściekły. Krzyczał na niego podniesionym głosem: „Proszę mi nie przerywać! Poczekajcie, aż skończę, towarzyszu Kaźmierczak!“ Zdaje się, że to Kaźmierczakowi nie pomoże w dalszej karierze.

— No, patrzcie, a zdawało się, że to właśnie Piątek go popiera...

III

— Słyszał pan kolega o Kaźmierczaku?

— Co takiego?

— Zaatakował ministra Piątka w sprawie mechanizacji. I to w jaki sposób! Była straszna awantura.

— Bagatela! Ale co temu człowiekowi się stało? Zdawało się rozsądny chłop, spokojny.

— Zupełnie jakby jaki diabeł w niego wstąpił. „Gdzie macie dane towarzyszu ministrze — krzyczał — wasze wywody są pustym frazesem!“

— Jezus Maria! A co minister?

— Pienił się.

— Wyobrażam sobie.

— Poczekajcie, Kaźmierczak — chrząknął — ja was skończę, Kaźmierczak!

— No, no. Dobrze, że pan kolega mnie uprzedził, bo właśnie się do Kaźmierczaków wybierałem na imieniny.

— Broń Boże! Minister mógłby to wziąć koledze za złe.

— Bardzo dziękuję za ostrzeżenie, bardzo dziękuję...

IV

— Czy słyszeliście o Kaźmierczaku? Zupełnie się odchylił od linii. Haniebnie zdemaskował swe ohydne oblicze w sprawie mechanizacji.

— Co wy mówicie?!

— Wróg i wewnętrzny emigrant. Zawieszony w czynnościach. Specjalna komisja ma się zająć jego działalnością...

V

— Czy słyszał pan, że Kaźmierczak...

— Psst! Lepiej nie wymawiać tego nazwiska.

— Co pan mówi, to aż tak!

— A co pan myślał. Zamknięta karta. Sic transit...

— Tak, tak... Tam, panie, patrz pan, przecież to on!

— Niemożliwe.

— Naprawdę, chyba że to przywidzenie.

— Niech pan się lepiej nie przyznaje do takich przywidzeń.

— Ależ to on, naprawdę, wysiada z auta!

— Sam?

— Nie, jest z nim ktoś, pomaga mu wysiąść.

— No, widzi pan, mówiłem. Facet skończony.

— Co tam pan mówił! Przecież to auto ministra Piątka! I sam minister pomaga Kaźmierczakowi wysiąść.

— Patrz pan, jak serdecznie rozmawiają, jak się śmieją. Nic nie rozumiem. Nie, to chyba bujda to wszystko, co o Kaźmierczaku opowiadają...

— Wiesz pan co, a może...

— Co może?

— A może minister jeszcze o niczym nie wie?!

REFOWAĆ CZY NIE REFOWAĆ-

OTO JEST PYTANIE

Tekst: JAN LEGUT

Zdjęcia: STEFAN CIEŚLAK



Jacht „Kania” prowadzi wyciąg, lecz niestety wpadł na mieliznę. Dzielną załogę przewyciężyła przeszkoda. „Kania” znów kołysze się na głębokiej wodzie i w dużym przechyle pod wodzą sternika Gerlacha goni przeciwników

SZCZECIŃSCY żeglarze od czterech lat rozpoczynają sezon na wodach Wielkiego Zalewu zawodami pod nazwą „Regaty Pokoju”. W tym roku pogoda szczególnie sprzyjała żeglarzom — była naprawdę „regatowa”. Od wschodu dał silny, czasami porywisty wiatr. Rozkołysał zielone fale, a po słonecznym niebie pędziły białe obłoczki...

Już od wczesnego rana Zatoka Dąbska, opodal szczecińskiego portu, pokryła się białymi centkami żagli. Z klubowych przystani jachty ścigały na start — do motorówki sędziowskiej zakotwiczonej na Zatoce. Wkrótce powstał tu spory las masztów osnuty pajęczyną lin, pełen radosnych okrzyków i śmiechów zmieszanych z pluskiem fali i skrzypieniem cum. Sternicy jachtów przechodzą na motorówkę sędziowską — na odprawę, a załogi czynią ostatnie przygotowania do startu. Jedni poprawiają osprzęt, inni pitraszą na maszynkach spirytusowych spóźnione śniadanie... Trzeba dobrze podjeść, póki stoi się na kotwicy, bo fala tęga i nie wiadomo, czy później będzie okazja... Na jednym z jachtów „Kolejarza” ktoś koncertuje na fujarce.

— Feluś! Zagraj walca Brahmsa, koniecznie! — wołają dziewczęta w białych drellichach z emblematami AZS.

Wszyscy się tu znają, niemal wszyscy są ze sobą „na ty”, choć jedni mają dopiero latkę...naście, a inni już...dziesiąt, choć jedni są studentami, a inni pracownikami portu, inżynierami czy robotnikami stoczni. Ba — nie brak nawet aptekarza!

— Odbijać! Padają gromkie komendy, głośno łopocą żagle targane wiatrem. Na jednym z jachtów przy stawianiu żagli nieuwważnemu żeglarzowi „uciekł” fok-fal, czyli lina do wciągania przedniego żagla. Nieuważny żeglarz musi teraz wspinać się po nią na wysoki maszt, choć fala mocno kołysze jachtem...

Jachty przechylone wiatrem manewrują przed linią startu. Każdy chce zająć jak najdogodniejszą pozycję w stosunku do wiatru i tak „wymierzyć”, aby na sygnał syreny przeciąć linię startową na pełnej szybkości. A to sztuka nie lada! Właśnie w momencie zderzyły się przy zwrocie dwa jachty. Jeden z nich podpływa do komisji i zgłasza „protest”...

Na maszcie motorówki sędziowskiej wykwitła flaga „P”:

Tak wygląda Zdzisław Żaremba w momencie, gdy przestaje ładować wielkie transportowce z węglem i po zakończeniu pracy szuka odpoczynku na jachcie



W uroczym zakątku szczecińskiego portu odbywały się ostatnie przygotowania do tradycyjnych „Regat Pokoju”. Jedni poprawiają osprzęt, inni pitraszą na maszynkach



Notatnik zapaleńca

ZDOBYŚLAW STAWCZYK

Z DOBYŚLAW! Z takim imieniem nie można siedzieć spokojnie w domu. Z takim imieniem odkrywa się nieznaną lądą, dokonywa epokowych wynalazków, podbija serca niewieście. W „ostateczności” — jest się sprinterem. Trzeba mieć dużo fantazji, żeby wyobrazić sobie sprintera z imieniem, powiedzmy, „Pankracy”. Jakby taki wyglądał w pełnym pędzie na finiszu? Sądzę, że śmiesznie.

Od dawna już pragnęłam poznać Zdobysława Stawczyka, którego uważam za najszybszego człowieka w dziejach naszej lekkoatletyki. Troszkę go sobie, jak zwykle, wyidealizowałam i może dlatego bałam się tego spotkania — wiem z doświadczenia nabytego w innych środowiskach, że lepiej nie poznawać bliżej swoich „idealistów”. Wreszcie, na zawodach międzynarodowych w Warszawie — stało się. Pośrednikami byli sprinterzy „Gwardii” Buhl i Sucheński, wierni czytelnicy „Świata”.

Nie, nie rozczarowałam się na Stawczyku! Z bliska wydał mi się tylko trochę niższy niż na bieżni, ale równie sympatyczny. Widać, że to człowiek inteligentny, bezpośredni, dowcipny. Stawczyk ma nieco kplarski sposób bycia, ale wystarczy zahaczyć w rozmowie o sprint i budzi się w nim coś tygrysięgo: jest gotów do startu (to znaczy, mówiąc prościej, że rozmawia z zapalemem).

Zadaje pytanie, które niepokoiło mnie od dawna: — Czy uprawianie pięcioboju nie przeszkadza panu w utrzymaniu szybkości sprinterskiej?

— Nic nie przeszkadza, co się robi z przyjemnością — odpowiada Stawczyk. — Bo co to jest, ostatecznie, ten sport? Przyjemność. I zdrowie!

— Tak, zdrowie — potakuje. — A jednak jest pan mocno zachrypnięty.

— To „choroba zawodowa”: jestem trenerem.

— Czy chętnie uprawia pan 400 metrów?

Stawczyk wzrusza ramionami:

— No, trzeba ten pięciobój przecież ukończyć...

— Rozumiem... W ubiegłym roku prasa zapowiadała pański udział w dziesięcioboju.

— Co za głupstwa! Proszę zrozumieć: co ja mam z drugiego dnia 10-boju? Tylko płotki. Z reszty — nic.

Stawczyk spochmurniał:

— Prasa nie powinna podawać takich wiadomości, jak ta, że zrobiłem 10,3. Skąd oni to wzięli? Na stadionie nikt o tym nie wiedział, bo komisja sędziowska wcale tego wyniku nie podała. I nie chodziło o to, że bieżnia była za krótka, tylko zaraz po biegu zorientowano się, że nieprawidłowo mierzono czas. Ja sam reklamowałem. Więc po co to było podawać przez radio? Wystałem od razu sprostowanie do „Przeglądu Sportowego”.

— Czytałem kiedyś bardzo ciekawy artykuł pański o zmianach w sztafecie. Wydaje mi się, że zawodnicy powinni częściej zabierać w tych sprawach głos.

— Kiedy nasze pisma sportowe nie chcą artykułów jachowych. Najbardziej interesują się wynikami, podczas gdy za tymi wynikami kryje się mnóstwo problemów ludzkich i technicznych. Napisałem niedawno artykuł o sprincie. Bo kto to jest ten sprinter? (Teraz właśnie twarz Stawczyka niezwykle się ożywia). To nieprawda, że każdy człowiek może być sprinterem. Jakies dane trzeba do tego mieć. Ze mnie nie zrobi się miotacza, choćbym trenował dzień i noc. W artykule swym napisałem właśnie o tym, jakie właściwości powinien posiadać sprinter. Poradziłem mi, żebym to dał do bardziej specjalnych pism.

— A jakie plany na przyszłość?

— Biegać. Sprinty. Jestem młody i mam całe życie przed sobą.

Stawczyk ma 32 lata. Stojący obok Buhl, który wma- wia sobie czasem, że jest już „stary”, jest o 4 lata młod- szy.

— Dlaczego nie startujecie? — pyta Stawczyk Buhla i Sucheńskiego.

Buhl rozkłada ręce:

— Nie wychodzi. Trenujemy — jakoś nic nie wychodzi.

— Ech, „florki” jesteście — zawstydzają ich Stawczyk.

— Ale do Spartakiady będziecie gotowi?

Będą, na pewno! Podbiega Potrzebowski i Stefan Lewandowski. Znowu te same pytania: dlaczego Buhl i Sucheński dziś nie startują? — i czy do Spartakiady będą gotowi? To bractwo się lubi i nie chce się rozłą- czać. Zjawisko naprawdę przyjemne. Zastanawiam się, czy pięściarze, którzy nawzajem okładają się po twa- rzy, mogą się lubić? Kto wie — może i tak?

Znów rozmawiamy ze Stawczykiem o prasie. Jaka jest, jaka powinna być. Okazuje się, że najbardziej cze- go nasz sprinter nie lubi, to kiedy przekraczają jego słowa.

Więc teraz boję się, czy czegoś — z nadgorliwością — nie przekręciłem...

Pomiędzy wodniakami panują serdeczne i koleżeńskie stosunki. „Wilk morski” sternik Wodzyński z żeglarską fajką w ustach, nie odmówił koledze pożyczki, gdy na sąsiednim jachcie zabrakło chleba na kolację

Uwaga. Za pięć minut start!

— Wybrać szoty!

Jachty przechylają się mocniej, nabierają szybkości i suną lawą do linii startu.

Trasa regat prowadzi z Zatoki Dąbskiej poprzez odnogi Odry i Zalew Szczeciński do półmetka w rybackiej przystani Lublin — i z powrotem na Zatokę Dąbską. W linii prostej długość trasy wynosi tylko 80 mil morskich, ale jachty, lawirując pod wiatr, przepłyną faktycznie blisko 200 mil.

Przy sprzyjającym wietrze żeglarze przepływają klasne rozlewiska Odry i wychodzą na Zalew. Tu dopiero zaczyna się prawdziwa żegluga! W żagle uderza tegi podmuch z Wielkiego Zalewu. Jachty kładą się mocno na burtę, w dół uderza wysoka fala, zalewa pokłady i bryzgami chłusta aż na sterników siedzących przy rudach na rufie.

Jak teraz płynąć? Sternicy wyciągają mapy. Przede wszystkim omijać niebezpieczne płycizny... Nie łatwa to sprawa — i nie wszystkim się udaje. Oto na mieliznę wpada jacht AZS — „Kania”. Co za pech! Przecież prowadził wyścig. Teraz, bez żagli, bezradnie tkwi kilem w piasku, a jednostki, które pozostawił daleko w tyle, mijają go i ofiarowują pomoc. Ale załoga „Kani” odmawia, przyjęcie pomocy oznacza bowiem wycofanie się z regat. Nie! — załoga „Kani” nie zrezygnuje z wyścigu, choć ryzykuje wiele. Wysoka fala podnosi jacht w górę i tłucze nim o mieliznę — może go rozbić „w drobny mak”... Sternik Gerlach spokojnie wydaje rozkazy, a załoga wykonuje je w mig — z brawurą. Już ktoś leży okrakiem na bomie wyniesionym poza burtę. „Kania” przechyla się mocno — to zmniejsza jej zanurzenie. Teraz w ruch idą bosaki. Niebezpieczeństwo minęło! „Kania” znów kołysze się na głębokiej wodzie. Piorunem stawia żagle i w dużym przechyle goni przeciwników.

Znów jacht na mieliznie! „Wojtek” — również z AZS. Ale prędko z niej schodzi o własnych siłach.

Wiatr dmie coraz silniej — w porywach dochodzi do pięciu stopni w skali Beauforta. Na wierzchołkach fal wykwitają białe „baranki” piany.

— Refować — czy nie refować? — Oto jest pytanie.

Zrefować żagle, czyli zmniejszyć ich powierzchnię — znaczy

zabezpieczyć się przed wywróceniem, ale to równocześnie znaczy stracić sporo czasu na manewr refowania, a potem — płynąć ze znacznie mniejszą szybkością.

Sternik Wodzyński postanowił zaryzykować, choć „Baśka” płynęła chwilami w tak wielkim przechyle, że róg głównego żagla moczyła w wodzie.

Myślicie pewnie, że dzielna załoga „Baśki” — to jakieś zapalone młodziki. Gdzie tam! Sternik Wodzyński, „w cywilu” — zaopatrzeniowiec Centralnego Zarządu Rybołówstwa Morskiego, to już „ojciec dzieciom”. A jego załoga? Wszyscy po trzydziestce. Żeglarz Boliński jest kierownikiem planowania w budownictwie, Robak — robotnikiem portowym, a Okopiński — statecznym magistrem farmacji. Mimo tej różnorodności zawodowej — „taka” załoga! „Baśka”, choć startowała w ostatniej grupie, na Zalewie wyprzedziła wszystkie jachty i do półmetka w Lublinie dotarła pierwsza!

Ostatnie jachty przybijały do lublińskiej przystani późnym wieczorem. Start do rejsu powrotnego odbył się nazajutrz rano.

Metę na Zatoce Dąbskiej pierwszy minął „Powiew” z LPZ, za nim „Kania” z AZS. Następna była „Baśka” z „Kolejarza”.

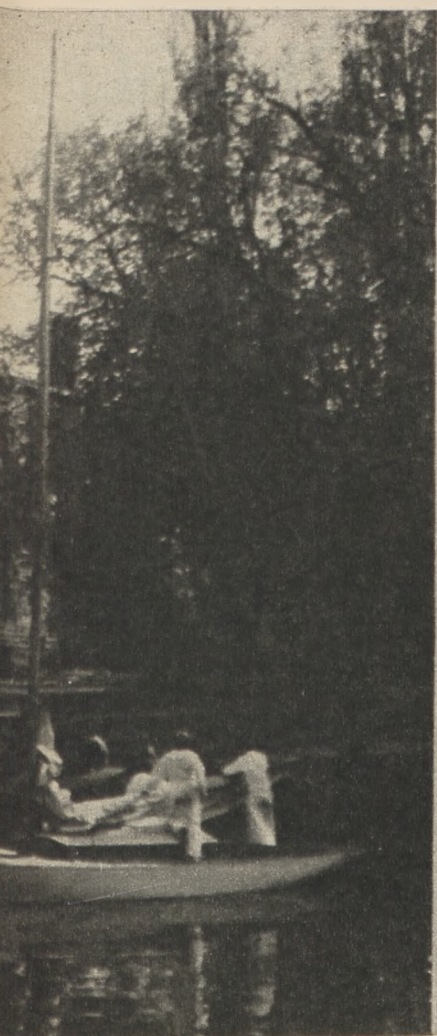
Po uwzględnieniu tak zwanej „wartości regatowej” (startujące jachty miały różną powierzchnię żagli) pierwsze miejsce w klasie szalup przyznano załodze LPZ ze sternikiem Korkiem. W drugiej grupie jachtów zwyciężyła „Kania” z AZS ze sternikiem Gerlachem, w trzeciej — „Baśka” z „Kolejarza” ze sternikiem Wodzyńskim.

Piękne tereny żeglarskie — rozlewiska Odry i Zalew Szczeciński pełne zielonych zatok i romantycznych wysp (czy ktoś z Was obozował na przykład na Ptasiej Wyspie?! — tak piękne, że piękniejszych wymarzyć nie można — są wciąż za mało wykorzystane dla turystyki, dla ludzi z całej Polski. Jakże mało znane są piękne plaże, ciche przystanie i porty rybackie w Lubczynie, w Stepińcu, w Trzebieży, w Kamieniu!

Najwyższy czas, aby wodami tymi zainteresować PTTK i „Fundusz Wczasów Pracowniczych”. Konieczne, konieczne trzeba tu zorganizować turystyczne wczasy kąjakowe i żeglarskie — udostępnić tysiącom ludzi z całej Polski poznanie jednego z najpiękniejszych zakątków naszego Wybrzeża.

spirytusowych późne śniadanie, posilając się przed startem

„Baśka” rozpoczęła bój ze złośliwymi falami. Od dziobu raz po raz chlustały obfite bryzgi. Jacht wkrótce popłynie przez Wielki Zalew



W BERLIŃSKIM KINIE

LION FEUCHTWANGER

Niebawem nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik” ukaże się powieść Liona Feuchtwangera, laureata Nagrody Państwowej NRD, pod tytułem: „Kariera” — w przekładzie Jacka Frühlinga. Akcja znakomitej powieści Feuchtwangera roz-

grywa się w latach 1922—1923, w pierwszym okresie kształtowania się ruchu hitlerowskiego. W opublikowanym poniżej fragmencie „Karier” reakcyjny minister bawarski Klenk przeżywa dziwne dłań uczucie oglądając w jednym z kin berlińskich film radziecki pt. „Krażownik Orłow”.

PODZAS gdy inne kina berlińskie są o tak wczesnej godzinie jeszcze zamknięte lub grają przed garstką widzów, tu pełno jest samochodów, policjantów i gapiów. Film „Krażownik Orłow” wyświetlany już był trzydzieści sześć razy, po cztery razy dziennie; widziano go trzydzieści sześć tysięcy berlińczyków. Mimo to publiczność jest podniecona, jakby dziś po raz pierwszy pokazywano jej coś, na co świat czeka.

Minister Klenk, wzrostem przewyższający znacznie siedzących dookoła, ani myśli o tym, by się dać zarazić tym niepokojem. Czytał, że to film bez bogatej wystawy, bez kobiet, bez akcji. Napięcie dramatyczne zastępuje tendencja. Kiedy się już jest w Berlinie, trzeba to sobie obejrzeć. Nie da się nabrać na sztucznie zaaranżowaną sensację.

Kilka taktów hałaśliwej, dzikiej muzyki, fortissimo. Tajne akta z archiwum marynarki. Tego a tego dnia zbuntowała się pod Odessą załoga krażownika „Orłowa” z powodu niedostatecznych racji żywnościowych. No dobrze, więc się zbuntowali. Bywały już takie rzeczy. Jako młody chłopak rozczytywał się w takich historiach. Interesujące dla dorastającej młodzieży. Minister Klenk uśmiecha się.

Kajuta sypialna załogi. Hamaki, jeden obok drugiego. Wśród śpiących marynarzy węższy jakiś przełożony. Zrobione nie bez talentu. Czuje się niemal ciężki zaduch zymbry sypialnej. A w dodatku ta stłumiona, dręcząca muzyka.

Ranek. Marynarze obstarpieli zawieszony kawał mięsa. Oglądają go z oburzeniem. Coraz ich więcej, więcej. Nie trzeba długo wahać, by się przekonać, że mięso cuchnie.

Zbliżone zdjęcie kawała mięsa: roi się na nim od robactwa. Marynarze z pewnością już nieraz dostawali takie mięso. Wymyślają. To zrozumiałe. Zjawia się w zwany lekarz okrętowy, jakaś mizerna figura. Nakłada binokle, spełnia swój obowiązek, bada mięso: Nie może uznać go za niezdatne do spożycia. Mięso zostaje przyrządzone. Załoga nie chce tknąć zupy. Złorzeczy. Banalne wydarzenia przedstawione w prosty sposób, bez wyjątkowości. Kawał zepsutego mięsa, marynarze, oficerowie. Może niespecjalnie zdolni, ale, jak się zdaje, nie-najgorsi. Przeciwni. W Bawarii mamy nie o wiele lepszych. Osobliwe, że Klenk interesuje się tymi prostymi ludźmi i wydarzeniami.

Rozgoryczenie na okręcie wzmaga się, nie wiadomo dokładnie dlaczego. Publiczność czuje jednak, że to się nie może dobrze skończyć. Panowie oficerowie na ekranie nie biorą sprawy doś na serio. Powinni by wdać się w to, interweniować wreszcie. Czy są ślepi? Ale myśmy także w ostatnim roku wojny czuli, że zbiera się na coś niedobrego i także za późno opamiętaliśmy się. Co prawda, nie było u nas tej muzyki, która wali jak młotem. Wstrętne muzyka, ale nie można od niej uciec. Oczywiście, trzeba zabronić wyświetlania tego świńskiego filmu. Jest to po prostu rafinowane fabrykowanie pewnych nastrojów. Kawał robaczywego mięsa nie może być dostateczną przyczyną łamania dyscypliny. Podczas wojny, bracie, musieliśmy zjeść jeszcze gorsze rzeczy.

Mimo tych refleksji Klenk nie jest po stronie oficerów, jest raczej za marynarzami.

Waląca jak młotem, groźna muzyka rozbrzmiewa w dalszym ciągu. Kapitan każe wystąpić załozde na pokład. Zapytuje, czy są jakieś zarzuty co do wyżywienia. Wahanie. Wreszcie kilku występuje Nagle, nie wiadomo jak, najdzielniejszy z załogi, malkontenci, podlegacze stoją odcięci od reszty. Dzieli ich od pozostałych wielka, niebezpieczna przestrzeń. Diabło zręcznie zrobili to ci oficerowie, w mgnieniu oka dostali w ręce podlegaczy i buntowników. Większość załogi stoi bezradnie, na twarzach maluje się strach. Garstka przywódców, oddzielona liną, została zepchnięta w kąt. Ci, którzy przed chwilą rozdzielali pyski, stoją teraz onieśmieleni i drżący. Rozpostarto już nad nimi żaglowe płótno. Wstrząsa nim kilka nędznych, groteskowych ruchów. Lufy karabinów są wycelowane. Padają słowa komendy, obojętne, suche. Jeden z marynarzy nie wytrzymał, zaczyna krzyczeć. Pada rozkaz: ognia! Ale nie słychać strzałów, karabiny milczą.

Zawrót głowy ogarnia ludzi, tych na ekranie i tych na widowni. Dlaczego tak długo czekali? Ale teraz już za późno, już się zbuntowali, teraz nareszcie coś się zaczyna. Ludzie przed ekranem wydają radosne okrzyki, oklaskują tych z ekranu. Oklaski rozbrzmiewają przy akompaniamencie okrutnej, tryumfującej, hałaśliwej, ohydnej muzyki. Publiczność oklaskuje szalone, groteskowe polowanie na oficerów. Jak ich wyciągają z kryjówek, jak jednego po drugim wyrzucają za burtę, na radośnie spienione fale! Nie uniknął tego również mizerny lekarz okrętowy: wyleciał za burtę, a za nim jego binokle.

Olbrzym Klenk siedzi cichutko jak mysz, zaparło mu oddech. Nie ma sensu zabraniać wyświetlania tego obrazu. Przecież ta sprawa jest i istnieje, wciąga się ją w płuća z każdym oddechem, to istnieje na świecie, choć to inny świat; przeczyć temu byłoby nonsensem. Trzeba to oglądać, trzeba usłyszeć tę muzykę, nie można jej zabrać.

Ściągnięto banderę. Wśród entuzjastycznych okrzyków wciągają na maszt inną, czerwoną. Marynarze przejmują funkcje służbowe oficerów, machina nie funkcjonuje wskutek tego gorzej. Okręt zawija do portu odeskiego pod czerwoną banderą.

Z łękiem patrzy miasto na czerwoną flagę, otwiera usta, raduje się. Zaczyna swobodniej oddychać, wyzwolone wpada w entuzjazm. Do okrętu z czerwoną banderą zbliżają się ludzie. Z początku w pojedynkę, później jest ich więcej, wreszcie całe miasto pielgrzymuje do jedyne go zastrzelonego marynarza, którego zwłoki przeniesiono na ląd. Dookoła okrętu roi się od łodzi, ludność przynosi marynarzom żywność, której sama nie ma w nadmiarze.

Klenkowi robi się nieswojo. Czy tamci nie na to? Czy



Lion Feuchtwanger, jeden z najznakomitszych współczesnych pisarzy niemieckich, urodził się w roku 1884 w Monachium. Twórczość literacką rozpoczął od dramatów, ale właściwą domeną jego talentu jest powieść historyczna.

Najwybitniejszym dziełem Feuchtwangera jest napisana w ostatnich latach Republiki Weimarskiej powieść „Kariera”, w której autor po mistrzowsku zobrazował stosunki panujące w Niemczech w pierwszym okresie powojennym i z niezwykłą pasją obnażył prawdziwe oblicze rodzącego się wówczas hitleryzmu.

W 1953 roku Feuchtwanger odznaczony został za całokształt twórczości Nagrodą Państwową Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

tak po prostu pozwolą na to? Klenk nie jest wcale po ich stronie, jest zbyt żywotny, by się nie dać porwać rozmachowi tego, co się stało. Ale drażni go, że wydarzenia tak dotąd prawdziwe, zaczynają się przez tę bezczynność tamtych stawać nieprawdziwe.

Ale nie! Wydarzenia stają się jednak prawdziwe! Oto zjawiają się tamci. Nie zaspali gruszek w popiele, przysli.

Widać schody. Olbrzymie, szerokie, zdają się nie mieć końca. W nieskończonym korowodzie płyną po nich prości ludzie, by wyrazić buntownikom swe uczucia. Nie trwa to długo, gdyż na schodach są już tamci. Koza-cy w tyralierze schodzą po schodach z karabinami pod pachą, wolno, groźnie, niesposób ich wyminąć, zamknęli schody na całej szerokości. Fala ludzka zakolysała się. Idą szybciej, biegną, pędzą, uciekają. Niektórzy nie spostrzegli niczego, niczego nie rozumieją, idą powoli, są

„WYŚCIG POKOJU” i... MIŁOŚĆ

Wyścig Pokoju, o którym tyle napisano opowiadań, wierszy i pieśni masowych, stał się z kolei tematem... operetki. Z premierą jej wystąpił w maju tego roku, zaledwie w kilka dni po warszawskim starcie, berliński teatr Metropol. Tytuł: „Co roku w maju”; treść: perypetie sportowe i oczywiście miłosne; występujące osoby: kolarze i ich partnerki (w miłości), trenerzy, masażyści, reporterzy itd. Autorem libretta

jest Peter Bejach, muzykę opartą na pieśniach i tańcach różnych narodów skomponował Herbert Kawan.

Berlińczykom operetka bardzo przypadła do gustu. Może zresztą nie tylko dlatego, że jest miła, żywa, wesola i melodyjna — ale i dlatego, że zamiast nieistniejących władców nieistniejących krain wkroczyli na operetkową scenę ludzie dzisiejsi, kolarze, ulubieńcy publiczności.



Miedzy dwoma trudnymi etapami Wyścigu Piętro flirtuje z fotoreporterką rumuńską Eleaną...



Po różnych przygodach wierni sobie partnerzy niemieccy Brigitta i Rudi odnajdują się ku ogólnej radości

zdumieni. Widać olbrzymie buty żołnierskie, zstępujące po schodach bardzo wolno, stopień po stopniu, lufy karabinów dymią nieco. Teraz już nie biegną po schodach, teraz gonią już co sił w nogach i tchu w piersiach. Niektórzy staczą się na dół, spadają. To już nie ich wola każe im się staczać, nie ich nogi i płuca, lecz prawo ciężkości i inercji: to trupy. Coraz bardziej miarowo kroczy but kozaka, coraz więcej ludzi spada, stacza się na dół. Jakaś kobieta, która popychała dziecienny wózek, nie popycha go już. Nie ma jej, ale wózek sam toczy się dalej — jeden stopień, drugi, jeszcze jeden, jeszcze szósty, dziesiąty, aż nagle zatrzymał się. A za nim olbrzymi, wolno poruszający się but kozaka.

Również i na morzu nie próżnują tamci. Ściągnięto inne okręty. Olbrzymie, potężne otoczyły „Orłowa”. Na okręcie pod czerwoną banderą wszystko goiowe do bitwy. Lśnią, niby lustra, olbrzymie rury, podnoszą się i opadają jak groźne potwory z bajki. Wskazówki instrumentów mierniczych pracują z szaloną szybkością. Zewsząd napływają narzędzia zniszczenia, potężne precyzyjne organizmy. „Orłowi” zmierza ku nim. To okręty tej samej klasy co on, jest ich sześć, osiem, dziesięć, polują na niego, okrążają go. Nie ma możliwości przerwania tego pierścienia; armaty „Orłowa” nie niosą dalej niż działa jego przeciwników. „Orłowi” nie może zwyciężyć, może tylko ginąć, porwać tamtych w otchłań śmierci.

Straszliwe, głuche napięcie panuje na ekranie i na sali, olbrzymie okręty powoli zamykają pierścień dokoła Orłowa.

Wtedy okręt skazany na zagładę zaczyna dawać sygnały. Wznoszą się, opadają małe, kolorowe chorągiewki. „Orłowi” sygnalizuje: bracia, nie strzelajcie! Podpływa wolno ku swoim prześladowcom, sygnalizując: nie strzelajcie! Słychać oddechy ludzi sprzed ekranu, oczekiwanie staje się niemal nie do zniesienia.

„Nie strzelajcie!” — błaga, pragnie z całego serca kilkuset ludzi w berlińskim kinie. Czy minister Klenk jest człowiekiem łagodnym, pokojowo usposobionym? Chyba nie, ryczałby ze śmiechu, gdyby go za takiego ktoś uważał. Jest człowiekiem rubasznym, dzikim, wojowniczym; wszelka małostkowość jest mu obca. Ale co myśli w duszy, kiedy okręt buntowniczy podpływa ku wymierzonym przeciw niemu działom? I on, z całym namietnym porwysem serca pragnie jednego: „Nie strzelajcie!”

Niebywała radość ogarnia serca, gdy pierścień prześladowców przepuszcza „Orłowa” i kiedy później okręt zawija bez przeszkód do neutralnego portu.

Kiedy minister Klenk w płaszczu narzuconym na ramiona i w filcowym kapeluszu na olbrzymiej czaszce wychodzi z ciemnego, ciasnego kina na jasną przestronną ulicę, jest pełen nie znanego mu dotąd uczucia niepokoju. Co to było? Czy może i on, Klenk, nie kazałby strzelać do buntowników? Czemu to przypisać, że człowiek jego pokroju mógł pragnąć, by nie strzelali? A więc to „coś” istnieje. Można go zabronić, a przecież zostanie na świecie... Nie ma sensu chować przed tym głowy w piasek.

W witrynie sklepowej zobaczył swą twarz, dostrzegł na niej wyraz beznadziei, którego dotychczas nigdy nie zauważył. Wygląda jak zwierzę w pułapce. Co to takiego? Twarz ma całkowicie zmienioną. Śmieje się z pewnym przymusem. Przywołuje skinięciem ręki taksówkę, oczyszcza fajkę, zapala ją.

Twarz jego ma znowu dawny wyraz: nieposkromiony, radosny, zadowolony z siebie.



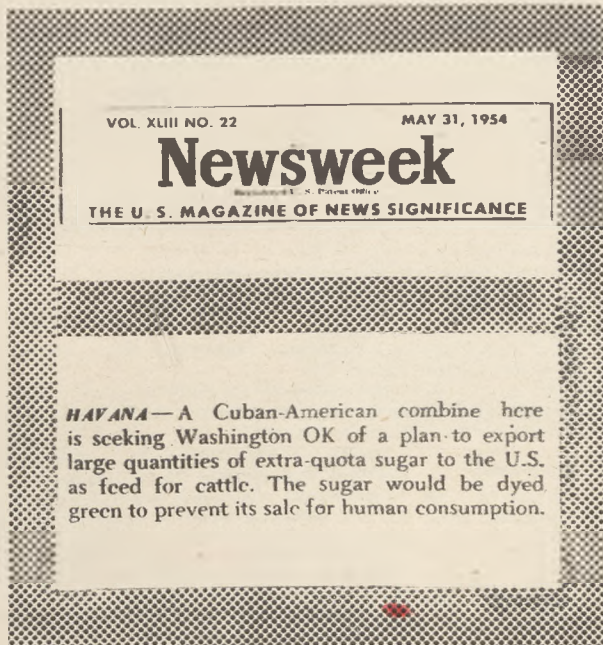
Kolarz włoski Pietro i jego ostatnia pasja — Jarmila

SWIAT

o tym wie!

BYDŁO WAŻNIEJSZE

Wiele słyszeliśmy dotychczas o kapitalistycznych „sposobach” służących do podtrzymywania wysokich cen na towary konsumpcyjne. Topienie kawy w morzu, palenie zboża — to stare już wypadki. Za nowy uznać należy jednak pomysł kubańskich plantatorów produkujących cukier trzcinowy dla amerykańskich koncernów. Tygodnik amerykański „Newsweek” pisze na ten temat w numerze z dnia 31 maja:



„Hawana. Miejscowy kubańsko-amerykański kartel stara się o zgodę Waszyngtonu na plan eksportu wielkich nadwyżek cukru do USA jako karmy dla bydła. Cukier ten byłby zabarwiony na zielono, by zapobiec jego sprzedaży i konsumpcji wśród ludzi”.

Tak więc nawet bydelku „śłodziej” jest w USA niż ludziom pracy. Tym ostatnim nie wolno kupować nadwyżkowego cukru po tańszej cenie. Obniżyłoby to bowiem wyśrubowane uprzednio ceny.

Proste, nie?

KRÓTKA PAMIĘĆ PANA SENATORA

Senator Knowland jest wybitnym działaczem partii republikańskiej USA. I jednym z najgorętszych zwolenników zbrojnej interwencji Stanów Zjednoczonych w Indochinach. Dlatego też senator Knowland niemiłosiernie biczuje tych polityków zachodnich, którzy skłaniają się ku pokojowemu uregulowaniu sprawy indochińskiej. Nie cofa się nawet przed nazywaniem ich „monachijczykami”. Najwidoczniej senator Knowland odznacza się bardzo krótką pamięcią. Albowiem to on właśnie jest monachijczykiem, to znaczy jednym z tych, którzy entuzjastycznie zgodzili się na ugodę Francji i Anglii z Hitlerem i Mussolinim, zawartą w Monachium w roku 1938, a wydającą Czechosłowację na łup hitlerowców.

Wtedy, szesnaście lat temu, Mr Knowland był współredaktorem dziennika „The Oakland Tribune”, wydawanego przez jego ojca. Na wieść o zamierzonej wizycie ówczesnego premiera brytyjskiego u Hitlera, dziennik wyraził „najwyższe uznanie” p. Chamberlainowi. A na wieść o podpisaniu układu monachijskiego pana Knowlandowa „Oakland



Tribune” aż zapiała z zachwytem:

„Tym, którzy są odpowiedzialni za konferencję w Monachium, należy się najwyższe uznanie... To jest największe wydarzenie w historii świata”.

Tak więc pan senator był zachwycony, gdy wydierano wolność narodom Czechosłowacji. Dziś natomiast, gdy chodzi o przywrócenie wolności narodom Indochin, nie posiada się z oburzenia.

Jest w tym postępowaniu amerykańskiego senatora oczywista logika. Pan senator był i jest monachijczykiem, czyli zwolennikiem faszyzmu i gnębienia narodów.

„CZAPECZKA, LASECZKA...”



Korporanci — wcielenie reakcyjnej, szowinistycznej i kastowej tradycji dawnych uniwersytetów niemieckich — grasują znowu w Niemczech zachodnich. Rozwiązane zaraz po wojnie, jako wylęgarnie hitlerizmu i militarizmu, korporacje zostały ponownie zalegalizowane w Niemczech zachodnich. W dobie hecy rewizjonistycznej i odbudowy Wehrmachtu burzowskie rozsądki reakcji na uniwersytetach bar-

dzo są panu Adenauerowi potrzebne.

I oto maszerują ulicami w swych błazeńskich strojach („czapeczka, laseczka, akselbancik...”) i zasiadają dumnie na „komersach” („bydlę wlane, korporancik...”), zaszczyconych obecnością bońskich dygnitarzy. A w wolnych chwilach urządzają burdy na uczelniach, połączone z biciem postępowych studentów. Zupełnie jak dawniej...



„PRZYJACIELE” CZY PODPALACZE?

W Niemczech zachodnich pomiędzy Zelle a Soltau mieści się olbrzymi teren ćwiczeń okupacyjnych wojsk brytyjskich. Ostre strzelanie odbywa się tu bardzo często. Padają granaty, pociski fosforowe, bomby lotnicze. Nikogo to jednak nie obchodzi, iż wybuchy pocisków powodują co kilka dni olbrzymie pożary, pochłaniające za każdym razem setki hektarów lasu. Żadne protesty okolicznych mieszkańców oraz władz lokalnych nie pomagają. Angielska komenda wojskowa nie pozwala nawet na żadne przerwy w strzelaniu, które umożliwiłyby zlokalizowanie pożarów. „Nie będziemy się zatrzymywać dla jakiegoś małego pożaru” — stwierdzili Anglicy w oficjalnej odpowiedzi.

Te „małe pożary” spowodowały jednak — jak podaje „Der Stern” — szkody sięgające wielu milionów marek. Herr Adenauer na pewno jednak nie zgłosi protestu w tej sprawie. Czegóż się bowiem nie robi dla przyjaciół, nawet gdy są podpalaczami?





Dowiecie się za chwilę. Ale najpierw spojrzcie na rysunek i spróbujcie zgadnąć sami. Nie, proszę pana, to nie jest słup wody morskiej po wylaniu bomby wodowej. Miła pani też się myli. To nie jest zwisający strzęp żelbetowej konstrukcji w ruinach zburzonego domu. Chmura na niebie? Spróchniały grzyb? Zestrzelony spadochron? Nie, nie, nie. Widzę, że nie zgadniecie, więc już wam powiem. To jest, proszę, irogich Czytelników... „delikates”.

Smiech na sali?

Ależ żartuję wam, że nie żartuję. Słowo honoru. Po prostu chleb razowy kupiony w „Delikatesach” na Pradze dnia 16 czerwca b.r., a pochodzący, jak wskazuje nalepka, z piekarni nr 26 przy ulicy Targowej 68.

O, proszę. Tu, na górze, widać charakterystyczne zaokrąglenie bochenka, tak zwaną kromkę, spólkę, piętke, dupkę, czy jak kto woli, w dole również chlebek w postaci mniejszych i większych grudek, całość misternie połączona... supłem z włosów i sznurowadeł!!! Autentyk. War-

tość muzealna. Do wglądu w redakcji tygodnika „Świat”, sprzedaż w drodze licytacji jedynie dla członków dyrekcji Domu Handlowego „Delikatesy” oraz Centralnego Zarządu Przemysłu Piekarniczego. Całkowity dochód z licytacji przeznaczony na dożywotni zakup kaszki manny dla Czytelnika, który nam ten apetyczny razowiec przyniósł i oświadczył, że z obrzydzenia do końca życia chleba do ust nie weźmie.

Znajdowano już w chlebie guziki, gwoździe, ślady oleju samochodowego, a nawet świetnie zakonserwowane karaluchy. Ale żeby supel z włosów i sznurowadeł jednocześnie — tego jeszcze nie było! Włosek jednak mądry król Salomon nie miał racji. Jest przecież coś nowego pod słońcem. A skoro jest, warto się też zastanowić, skąd się wzięło.

Były w redakcji różne koncepcje. Niektórzy twierdzili prozaicznie, aczkolwiek wielce prawdopodobnie, że widocznie w piekarni na Targowej worki z mąką przechowuje się w bliskim sąsiedztwie śmietnika. Inni, że, co tu dużo szukać, musi tam być po prostu brud i bałagan. Co do mnie, byłam zdania, że piekarze z Targowej pochłonięci są swą pracą od stóp do głów, jak to się mówi, włożą w robotę z głową i nogami. Jeżeliby jednak tak było, wolelibyśmy, żeby w przyszłości nie zostawiali w chlebie śladów tego serdecz-

nego entuzjazmu i oddania. Włosy i sznurowadła są bowiem istotnie artykułami „pierwszej potrzeby”, ale na właściwym miejscu, natomiast artykuł pierwszej potrzeby — chleb — może się bez nich doskonale obejść i jest nawet wtedy znacznie apetyczniejszy.



Drogi Czytelnicy!

Już nieraz w tym dziale poruszaliśmy sprawę wadliwej dystrybucji różnych towarów powszechnego użytku. I tym razem mieliśmy ochotę we własnym imieniu napisać o braku na rynku warszawskim papierosów „Giewont”, które bardzo lubimy, a które podobno są do nabycia w innych miastach. — Ale oddajemy głos naszemu Czytelnikowi. Oddajemy mu głos dlatego, że utrafił on i w nasze utrapienia papierosowe. Stanisław Czabański ze Żnina pisze:

„Produkowane przez Wytwórnę Papierosów w Radomiu „Zeglarze” zdobyły sobie zasadniczo w krótkim czasie wśród rzeszy palaczy wielkie uznanie. Ten w efektywnym opakowaniu gatunek papierosów, sporządzonych z mocnej, lecz gatunkowo dobrej mieszanki tytoniowej, zniknął w ostatnich dniach z półek sklepowych i ulicznych kiosków. „Zeglarzy” nie tylko że nie można nabyć w Żninie, lecz i palacze w Bydgoszczy dotkliwie odczuwają brak tego gatunku papierosów.

Po wielodniowej nieobecności — w dniu 22.VI.54 r. kiosk „Ruch” w Bydgoszczy, w godzinach popołudniowych, otrzymał do sprzedaży kilkanaście paczek (po 20 sztuk) „Zeglarzy” do sprzedaży. Momentalnie przed kioskiem utworzyła się „kolejka”, a sprzedawca dzielił „Zeglarzy” nie bardzo, co prawda, „salonowym sposobem”, gdyż uzależnił nabycie 20 sztuk „Zeglarzy” od równoczesnego kupna 20 sztuk „Wczasowych”. Reszta kupujących (a raczej czekających) — nie dostała i tak „Zeglarzy”.

Wynika z powyższego, że sytuacja z „Zeglarzami” przedstawia się mgliście. Prosimy zatem PMT i jego wytwórnę w Radomiu o pełne zaopatrzenie rynku w pożądane przez denerwujących się i nienasyconych palaczy „Zeglarzy”.

No cóż, my Wam, Ob. Czabański, prześlemy kilka paczek „Zeglarzy” do Żnina. a może Wy nadesłacie nam w zamian nieosiągalne „Giewonty” (nomen — omen). Chyba że wyreczą nas w tej transakcji zainteresowane „czynniki branżowe”.

W SPRAWIE WINAWERA

„W związku z zamieszczonym w jednym z numerów „Świata” fragmentem wspomnień Kazimierza Wroczyńskiego o Brunonie Winawerze, chciałbym przesłać garść wiadomości z ostatniego okresu jego życia.

W czasie okupacji w latach 1942—1943 pracowałem w f-mie Lisiecki z Lublina, budującej wał ziemny w zapadłej wiosce Zestów Polanowski nad Wisłą w pow. puławskim, woj. lubelskie, i tam zetknąłem się z Winawerem, występującym pod nazwiskiem Laskowski. O ile sobie przypominam, w jesieni 1943 r. Winawer zachorował ciężko na gruźlicę i został przewieziony do szpitala w Opolu Lubelskim, gdzie wkrótce zmarł. Pochowano go prawdopodobnie na miejscowym cmentarzu katolickim. Bliższe szczegóły dotyczące choroby i śmierci Winawera-Laskowskiego można będzie prawdopodobnie uzyskać w dyrekcji Szpitala oraz w księgach cmentarnych w Opolu Lubelskim”.

EUGENIUSZ DUTKOWSKI
Gdańsk-Wrzeszcz
ul. Prózna 5 m 3

„ŚWIAT”

CYRK BUCHMANA

Dokończono ze str. 11

Usiadł z powrotem w fotelu, otarł czoło batystową chusteczką i podkurczył nogi, bo na podium wchodził już chór, by odśpiewać przebieg Moralnego Dozbrojenia:

Ach, nie ma ras!
Ni walki klas!
Bo Bóg jest w nas!
Okey! Okey! Okey!

Rzałem z uciechy, waliłem brawo, krzychałem „bis!”, obserwujący mnie z boku „mój” Amerykanin zerknął na mnie przychylnie widząc, że się „zmieniam”, ale Amerykanin ze środkowego fotela powstrzymał mój entuzjazm i radość szybkostrzelną zapowiedzią nowego numeru:

„Włoski piosenkarz, który pisywał pieśni dla komunistów, a teraz pisze pieśni dla chóru w Caux!”

Piosenki były niedobre, mieszanka Offenbacha z Bachem, sprawa zatem jasna, dlaczego nie chcieli ich śpiewać włoscy komuniści.

Program cyrku był coraz słabszy. Zbiorowa scena, która nastąpiła po numerze Włocha, też była słaba: kilkadziesiąt młodych ludzi stanęło na scenie i jakiś młody Amerykanin wywoływał kolejno pojedynczo lub parami chłopaków i dziewczyny (wszystkie brzydkie jak kościelne posługaczki), by spowiadali się, jak doszło w sercach ich do „zmiany”. Naiwniutki ćwierkanie przerywał szorstki głos młodego „feldfebla”, który ustawicznie nogi i ręce, jakby strzelając z pistoletu maszynowego, zakończył numer zbiorowy niesamowitym wyznaniem: „Tymi rękami mordowałem Azjatów w Korei. W Caux zdobyłem Azjatów na przyjaciół!”

Trzech śniadych maminsynek objęło go serdecznie, a on we wzruszeniu zapomniiał opuścić ręce gotowe do strzału...

Zrobiło mi się zimno. To już nie była zabawa. Cyrk Buchmana pamięta i o dreszczykach z kapitalistycznego Grand Guignolu.

Czangkaiszekowcy bili brawo, ja machinalnie wycierałem ręce chusteczką, ściągając niewidzialny lepki brud. Nie zapamiętałem, co mówił Hejren Philips, właściciel fabryki radioodbiorników tejże marki, a z wypowiedzi szwajcarskiego fabrykanta pasty do zębów uchwyciłem tylko skrawki zdań... zrobiłem majątek — nie byłam szczęśliwy... grałem na giełdzie, wygrywałem, lecz stra-

KONKURSY OTWARTE NA PLAKAT, PLANSZĘ I WYWIESZKĘ

Zarząd Główny Towarzystwa Przyjaźni Polsko - Radzieckiej, Zarząd Główny Związku Polskich Artystów Plastyków, Wydawnictwo Artystyczne - Graficzne RSW „Prasa” ogłaszają konkursy otwarte na plakat, planszę i wywieszkę.

Celem konkursów jest uzyskanie projektów plastycznych o wysokim poziomie ideowo - artystycznym dla wszechstronnej propagandy przyjaźni polsko-radzieckiej.

Projekty winny wyrażać problemy polityczne, gospodarcze i kulturalne w ujęciu współczesnym lub historycznym.

Organizatorzy konkursów są przekonani, że udział w nich wezmą artyści-plastycy i studenci Akademii Sztuk Plastycznych, jak i amatorzy-plastycy z całego kraju oraz literaci, dziennikarze i propagandyści.

1. KONKURS NA PLAKAT

Format do wyboru: 70 × 100 cm, 100 × 137 cm, 70 × 197 cm; technika: offset lub rotograviura; ilość kolorów: offset do 5; rotograviura do 4; tekst — własny.

2. KONKURS NA PLANSZĘ

Ze względu na to, że forma planszy łączy w swej kompozycji elementy plastyczne i fotograficzne uzupełnione i związane tekstem — pożądana jest przy tej formie ścisła współpraca plastyka z dziennikarzem lub literatem.

Zdjęcia fotograficzne, potrzebne do wykonania planszy, otrzymać można w klubach lub terenowych zarządkach TPP-R.

Wskażane jest ograniczanie ilości zdjęć — 4—5 sztuk na jednym projekcie planszy.

Format: 61 × 86 cm; technika: fotooffset lub rotograviura; ilość kolorów: do 4.

3. KONKURS NA WYWIESZKĘ

Format do wyboru: 43 × 61 cm, 35 × 50 cm; technika: offset; ilość kolorów: do 6; tekst własny.

NAGRODY:

1. Konkurs na plakat: I nagroda — 7.000 zł; II nagroda — 4.000 zł; III nagroda — 2.000 zł.

2. Konkurs na planszę: I nagroda — 4.000 zł; II nagroda — 2.500 zł; III nagroda — 1.500 zł.

3. Konkurs na wywieszkę: I nagroda — 3.000 zł; II nagroda — 2.000 zł; III nagroda — 1.000 zł.

Niezależnie od powyższych nagród przewidziane są dla pkt. I i 3 dwa wyróżnienia za hasła o najlepszej treści i formie. Wyróżnienia w wysokości po 1.000 zł każde będą przyznane bez względu na poziom projektu plastycznego, na którym wyróżnione hasła będą się znajdowały.

Sąd konkursowy ma prawo, zależnie od poziomu prac nadesłanych na konkurs, zmienić wysokość poszczególnych pozycji, z tym jednak, że suma przewidziana na nagrody będzie wykorzystana w całości w poszczególnych konkursach.

Uczestnicy konkursu, których prace zostaną zakwalifikowane do wykorzystania w druku, niezależnie od nagród otrzyma-

ją honorarium autorskie wg. cennika ZPAP.

Nie ogranicza się ilości projektów opracowanych i przesłanych na konkurs przez jednego autora.

Każdy projekt winien być oznaczony własnym godłem oraz do każdego projektu dołączona zamknięta koperta opatrzona tym samym godłem co projekt, zawierająca wewnątrz kartkę z imieniem, nazwiskiem i adresem autora.

Projekty należy składać lub nadsyłać do Zarządu Głównego Towarzystwa Przyjaźni Polsko - Radzieckiej, Warszawa, ul. Kredytowa 5/7, w terminie do dnia 15 września (decyduje data stempla pocztowego).

Na opakowaniach należy napisać „Konkurs”.

Skład imienny sądu konkursowego złożonego z przedstawicieli ZG TPP-R, Min. Kultury i Sztuki, ZG ZPAP, Związku Literatów Polskich i przedstawicieli WAG, oraz termin posiedzenia podany zostanie w osobnym komunikacie prasowym.

O wynikach konkursu, jak również o terminie odbioru prac nie nagrodzonych i nie zakupionych, uczestnicy zawiadomieni zostaną osobnym komunikatem prasowym.

Prace nagrodzone i wyróżnione w konkursie wystawione zostaną na specjalnie zorganizowanych przez TPP-R wystawach.

Bliższych szczegółów udziela sekretarz konkursu ob. Jan Stomczyński, WAG RSW „Prasa”, Warszawa, ul. Smolna 10.

NOWOŚCI POETYCKIE

Wiktor Hugo

POEZJE POLITYCZNE

Przełożył i opracował Zbigniew Biełkowski

s. 187

zł 9.50

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

NOWE KSIĄZKI

1000 KSIĄZEK Z RÓŻNYCH DZIEDZIN NAUKI

Państwowe Wydawnictwo Naukowe przedstawiło w okresie Dni Oświaty, Książki i Prasy swój dorobek oraz swoje plany na przyszłość w formie specjalnego wydawnictwa, obejmującego, oprócz opisowej części planu wydawniczego, wykaz 218 pozycji książek, które ukażą się w ciągu roku bieżącego, oraz 749 pozycji z dalszego planu prac redakcyjno-wydawniczych.

W planie PWN, podobnie jak w dotychczasowej działalności tej instytucji, reprezentowane są: filozofia, historia, historia nauki, filologia polska i obca, prawo, ekonomia, matematyka, fizyka, chemia, nauka o ziemi, biologia i nauki techniczne.

Plan Wydawniczy PWN obejmuje poza tym 43 tytuły periodyków naukowych, z których część ukazuje się w

językach obcych, oraz 330 pozycji skryptów na r. 1954, przeznaczonych dla różnych kierunków studiów i w poważnej części ukazujących się w formie drukowanej.

Państwowe Wydawnictwo Naukowe otwiera na podstawie materiałów zawartych w wydanym „Planie Wydawniczym” dyskusję, która ma pomóc wydawnictwu w ostatecznym ustaleniu swych zamierzeń na najbliższe lata.

Wydawnictwo zwraca się do zainteresowanych naukowców i ośrodków życia naukowego z wezwaniem do wypowiedzenia uwag dotyczących tych planów oraz życzeń w sprawie ich uzupełnienia w latach następnych.

Plan wydawniczy PWN jest do dyspozycji zainteresowanych m.in. w księgarniach naukowych „Domu Książki”, w centralnych bibliotekach oraz w rektoratach i dziekanatach wszystkich wyższych uczelni.

*) Państw. Wyd. Naukowe. Plan wydawniczy i plan prac redakcyjnych na rok 1954. Str. 116.

ŚWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaguje Komitet

Wydawca: R.S.W. „PRASA”

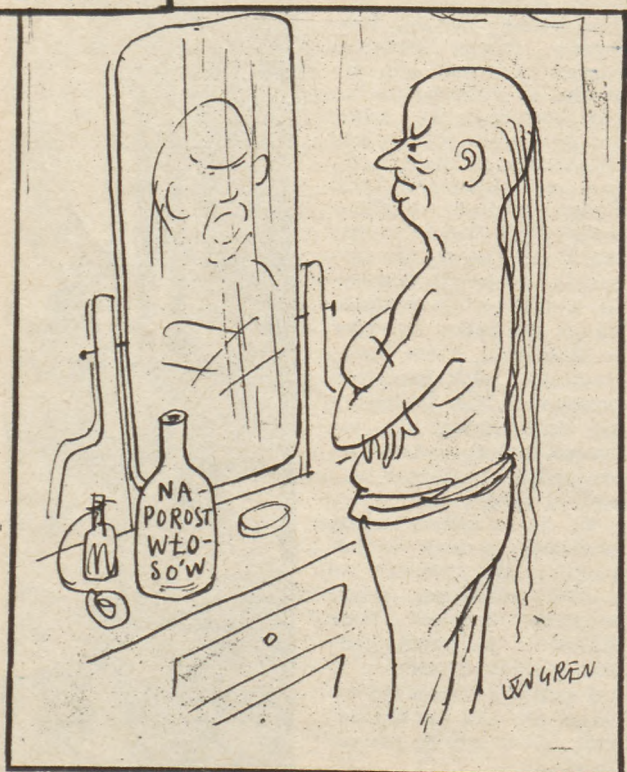
Redakcja: Warszawa, Nowy Świat 58. Telefony: Red. Naczelny: 6-41-64, Centrala 6-41-02, 6-41-23. Administracja: Warszawa, Wiejska 12, tel. 8-24-11. Prenumerata miesięczna zł 4,80, kwartalna zł 14,40, półroczna zł 28,80, roczna zł 57,60.

Informacji w sprawie prenumeraty opłacanej w kraju ze zleceniem wysyłki za granicę udziela oraz zamówienia przyjmuje Oddział Wydawnictw Zagranicznych PPK „Ruch” Sekcja Eksportu — Warszawa, Aleje Jerozolimskie 119, tel. 805-05.

Zakłady Wkłóśdotrukowe i Introligatorskie RSW „Prasa” Warszawa, Okopowa 58/72.

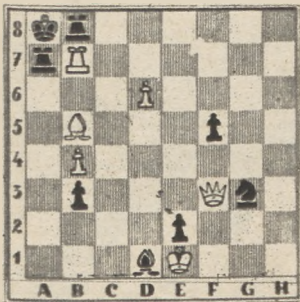
Zam. Nr 370. Papier rotoogr. V/80—82 cm 5-B-17153 podpisano do druku 30.VI.54 r.

LENGREN



ZADANIE
POZAKONKURSOWE

W. Hebelt

Mat w 4 posunięciach
PARTIA NR 114

grana podczas drużynowych,
akademickich mistrzostw
świata, które odbyły się w
Oslo w kwietniu br.
Obrona sycylijska

Białe: Minew (Bulgaria)
Czarne: Korcznoj (ZSRR)

1. e2-e4 c7-c5 2. c2-c3

Mniej używane posunięcie.
Białe zamierzają po 3. d4 i
ewentualnym 3... c:d4 odbić
pionem, uzyskując w ten
sposób silne centrum.

2... Sg2-f6

Drugą naturalną odpowie-
dzią czarnych jest 2... d5 co
po 3. e:d5 H:d5 4. d4 Sc6 5.
Sf3 Gg4 6. Ge2 e6 (ale nie 6...
c:d4? jak w partii Alechin —
Podgorny, Praga z równą grą.

3. e4-e5 Sf6-d5 4. d2-d4
c5:d4 5. c3:d4 Sb8-c6 6. Sg1-
f3 e7-e6 7. Sb1-c3 Sd5:c3 8.
b2:c3 d7-d6 9. e5:d6 Gf8:d6
10. Gf1-d3 Gd6-e7

To jest krytyczny moment
debiutu. Czarne muszą prze-
ciwstawić coś atakującym
możliwościami przeciwnika.
Trzeba przyznać, że plan za-
początkowany 9 posunięciem
czarnych okazał się niezbyt
skuteczny.

11. 0-0 0-0 12. Hd8-e2 Ge7-
f6 13. Wf1-e1 Hd8-d5 14.
Gc1-d4

Czarne zaczynają odczuwać
pewne trudności z zakończe-
niem rozwoju hetmańskiego
skrzydła. Nie można też w

żaden sposób przeforsować
e6-e5.

14... Wf8-d8 15. Wa1-d1

Gc8-d7 16. Sf3-e5 Gd7-e8

Zupełnie złe było 16... S:e5

17. d:e5 Ge7 18. G:h7+.

17. He2-h5 g7-g6 18. Se5-
g4!

Białe efektywnie prowadzą
atak. Po biciu hetmana czar-
ne uzyskały przegraną koń-
cówkę. Nieszczyśny goniec
musi więc wrócić na e7.

18... Gf6-e7 19. Hh5-h6

Hd5-h5

Nacisk białych staje się co-
raz silniejszy, więc Korcznoj
decyduje się na wymianę
hetmanów. Nie ratuje to jed-
nak partii.

20. Hh6:h5 g6:h5 21. Sg4-e5
Wa8-c8 22. Se5:c6 Ge8:c6 23.
We1-e5 Gc6-a4 24. Wd1-c1

Ge7-a3 25. Wc1-b1 Wc8:c3

Wydaje się z pozoru, że
czarne uratowały się, a na-
wet może uzyskały przewagę.
Jednakże odpowiedź Minewa
wyjaśnia sytuację.

26. We5-e3! Wd8-c8 27.

We3-g3+ Kg8-f8 28. Wb1:b7

Wc3-c1+ 29. Gd3-f1! i czar-
ne poddały się, gdyż przed
matem mogą się uratować
tylko oddając obie wieże.

W CZASIE ZAĆMIENIA SŁOŃCA



Rys. Szymon Kobylński

— Trzeba sobie okopcić szkielko!...

ciem sen... dopiero Frank Buchman dał mi radość ży-
cia... wbrew rodzinie za grosze ofiarowałem ten gmach,
który był moją własnością, Moralnemu Dozbrojeniu...

Nie znany mi sąsiad z lewej szerepu w moim kierunku:
„Million dolarów dostał, a chciał dwa...”

Program biegł dalej: na podium zjawili się pokojów-
ki hotelu, który jest siedzibą Dozbrojenia Moralnego.
Zapięte po szyję, w fartuskach po kostki, z krzyżyka-
mi na piersiach, spracowane dziewczyny z szwajcar-
skich chłopskich i robotniczych rodzin.

Amerykanin z reklamy szwajcarskiej pasty do zębów
już samą oliwą zaanonsował:

„Nastąpi teraz wzruszająca uroczystość z serca do
serca!”

Zaległa cisza. Z kręgu pokojówek wyszła przed mikro-
fon młoda dziewczyna i zacinając się, onieśmielona publi-
ką, wpatrzona w jedno miejsce jak zaczarowana, po-
częła mówić:

„Pracuję tu już kilka lat, lecz światło prawdy doszło
do mnie dopiero niedawno. Wdzięczna, że poznałam
prawdę, składam na twoje ręce, czcigodny nauczycielu,
wszystkie me oszczędności — 500 franków! — niech słu-
żą prawdzie. Wiem, że tracę w tej chwili me materialne
zabezpieczenie w razie choroby czy wypadku. Ale jes-
tem szczęśliwa, bo zyskuję łaskę Bożą.”

To mówiąc zeszła z podium w kierunku swego za-
patrzenia i teraz dopiero zauważyłem, że z boku pod ok-
nem, jak tron biskupi w kaplicy, stoi fotel najwyższy,
a w nim tkwi jak woskowa mumia, w okularach bez
oprawy, siedemdziesięcioletni dr Frank Buchman, po-
dobny nieco do Harry Trumana, a nieco do Harry Peela,
łysawy, o gładziutkiej twarzy dziecka i ustach starców,
podglądających Zuzannę.

Uśmiechnął się do pokojówki jak pop w zajeździe,
wziął forsz i poglaskał dziewczyny po policzkach.

Splunął w chusteczkę, ale już tracąco mnie, bym
pobożnie nakrył oczy dłońmi, jak to uczynili wszyscy
zebrani, bowiem konferencier zarządził trzy minuty mil-
czącej modlitwy, by „z serca do serca” zaszła we wszyst-
kich has zmiana, jak w szlachetnej pokojówce.

Nie dałem się sterroryzować, wycharkiwałem dalej
niesmak w chusteczkę, a jednocześnie rozglądałem się
po sali, jak z różnych miejsc pojawiają się jacyś ludzie
i ustawiają się co kilka rzędów, w czasie gdy reszta roz-
czapierzyła łokcie i dłońmi przyciska powieki. Nagle roz-
legły się dźwięki monet brzęczących na dnie cynowych
mis, które tajemniczy panowie podsuwali pod nosy zbu-
dzonych z modlitwy ludzi.

Kolekta!

„Tak jest, kolekta! — wołał urodziwy młodzieniec ze
środkowego fotela. — A jeśli nie pojełście jeszcze jej
sensu, to posłuchajcie piosenki!”

Na podium wskoczyło czterech revellersów Fortepian
podał ton swingowej melodii. Czterej piosenkarze zręcz-

nymi ruchami przylepili sobie do czoła pięciofrankowe
banknoty, które zakryły im oczy, a z otwartych czterech
ustnych jam popłynęła piosenka o ludziach ślepych, któ-
rym pieniądź przesłania świat. Melodia rozjaśniła się
radością dopiero wtedy, gdy z czoł swych czterech piosen-
karze zerwali seledynowe papierki i zaświecili szczęśli-
wymi oczkami, zręcznie chowając pieniądze do kieszeni.

Tymczasem cynowe misy przepływały przez rzędy
krzesel dzwoniąc srebrem, szeleszcząc banknotami. Do
mnie popłynęła czubata już misa, zgrabnie przeczuciłem
ją dalej, podsunęto mi ją więc z powrotem, ale gestem
otwartych dłoni dałem do zrozumienia, że nie należę do
tych, którzy lubią płacić frycom frycowe. Odczułem wo-
kół siebie chłód, co poprawiło mi nieco humor potrzeb-
ny do wysłuchania ostatniego jeszcze przemówienia na
zielenoświątkowej Konferencji Moralnego Dozbrojenia,
w Caux sur Montreux, Suisse.

Oto konferencier wy dobył z czwartego cylindra niepo-
zornego królika, chudzińca, którego przedstawił jako par-
lamentarnego sprawozdawcę londyńskiego „Times’a”, a
z kolei chudzińca odczytała nam dziesięciowierszową no-
tatkę z sobotniego numeru „Timesa”, że w Caux sur
Montreux, Suisse, zasłużony ideolog ruchu Moralnego
Dozbrojenia, dr Frank Buchman, w niedzielę 6 czerwca
organizuje międzynarodowe spotkanie informacyjne pt.
„Jak zmienia się świat przez nową polityczną mądrość
dla nowego świata”.

Sojusz amerykańsko-angielski został zmanifestowany,
więc parlamentarny sprawozdawca zakończył swe
przemówienie reklamą kolorowego pisemka „New
World News”, które niedawno kolektorki zaczęły roz-
dzielać po sali. Konferencier zdążył jeszcze krzyknąć, że
teraz wszyscy proszeni są na dobry obiad, a już szurga-
nie krzesel i przepychanie się do drzwi obwieszczało sta-
rą prawdę, że ludzie nie potrafią się zmienić, jeśli cho-
dzi o sposób przechodzenia z metafizyki do ziemskich
realiów.

Wziąłem z dziennikarskiego obowiązku kolorowe pi-
semko, ale zostałem natychmiast ukarany za lekkomyśl-
ny odruch, bowiem musiałem zapłacić półtora franka za
50 gramów zadrukowanego papieru, wartego najwyżej
30 centimów.

Pocieszyłem się, że gdybym się „zmienił”, oddałbym
wszystkie me oszczędności, lecz pocieszyłem się po raz
drugi, że nic bym nie oddał, bo nie mam żadnej wpra-
wy w oszczędzaniu, a wreszcie pocieszyłem się po raz
trzeci, że zdobyłem przecież za półtora franka ilustrację
oryginalną do groteskowego reportażu o cuchnącej na
mię amerykańskim wywiadem aferze Moralnych Do-
zbrajaczy z Caux.

Ruszyłem w powrotną drogę do kwadratowego hallu,
starając się jak najszybciej wydostać na świeże powie-
trze. Ale dogoniono mnie i z niemiłym zdziwieniem przy-
jęto wiadomość, że rezygnuję z dobrego obiadu i z dal-

szych imprez Cyrku Buchmana. Natarczywie przytrzy-
mywano mnie za łokieć, ktoś podprowadził do mnie
„największego rewolucjonistę Afryki” i polecił mu wy-
recytować tekścik o znaczeniu rozmów „z serca do ser-
ca” przy dobrym obiedzie. Byłem jednak uparty, czułem
bowiem, że dłużej w tym zbyt mieszanym towarzystwie
nie wytrzymam. Po kwadratowym hallu przechadzał się
japoński Krupp, mister Mitsui, z agentem niemieckiego
Kruppa, Fritzem Heske, osłonięci dwoma agentami ame-
rykańskiego wywiadu. Pokojówka, której wyludzone
wszystkie oszczędności, wniebowzięta rozstawiała po-
pielniczki. Fabrykant radiodbiorników Philipsa wraz z
bonzą z Force Ouvriere przyjacielsko gawędzili z czang-
kajszekowskim dziennikarzem.

Mnie jakiś osobnik o równie dobrze skrojonym ubra-
niu, jak złe skrojonej twarzy, starał się wciągnąć w roz-
mowę angielszczyzną, zalatującą monachijskim dialek-
tem:

— Pan z Polski? Znam, byłem przed wojną w Łańcu-
cie i w Olyce. Jaki jest wasz stosunek do Hitlera? Bło-
gostawicie go chyba mimo wszystko...

Musiałem mieć minę groźnie zdumioną, bo osobnik
wymamrotał tylko tonem usprawiedliwienia jedno zda-
nie i przesunął się szybko w stronę grupy podobnych doń
indywidualiów. Zdanie brzmiało:

— Wymordował przecież wielu waszych wrogów!

Wyskoczyłem na dwór w sam środek ulewy. Dwieście
metrów dzielących mnie od dworca górskiej kolejki
przebiegałem się przez ściany deszczu, dobrego oczyszczają-
cego deszczu.

Gdy byłem już na stacji nagle chmury rozpędził wiatr.
Zabłysło słońce. Przede mną rozpościerał się widok
przejmujący piękny: spadzistego zbocza, poźłocistego je-
ziora i daleko, daleko, przesłoniętego fioletową mgiełką,
widok łańcucha gór o szerokich ciemnozielonych podsta-
wach i śnieżnych stożkach, widok z którego słynie od
stuleci Caux, okupowane od lat ośmiu przez amerykań-
skich faszystów.

Swingowa melodia przekornie zadzwoniła mi w
uszech:

Ach! Nie ma ras!

Ni walki klas!

Bo Bóg jest w nas!

Okey! Okey! Okey!

Z kolei żółdek zaburczał, że jest głodny. Na dworcu
można było dostać tylko amerykańską gumę do żucia.
Powiedziałem więc spokojnie do burczymuchy:

— Amerykańską gumą do żucia się nie najesz. Wiesz,
że to oszustwo. Kupisz, zapłacisz, wsadziś do ust, a w
końcu musisz wypluć!

Zrozumiał i spokojnie zjeżdżaliśmy w dół, z powrotem
do ludzkich spraw.

EDMUND OSMANCIK



U góry bluzka jedwabna w czerw-
ne paski. Obok suknia letnia z
cienkiego płóciaka bawełnianego,
również w paski. Osoby pełniejsze po-
winny stosować paski wzdłuż, kobie-
ty o kształtach mało zaokrąglonych
— wszcz. A panie — ani tęgie, ani
chude — mogą stosować paski wzdłuż,
wszcz. w skos, jakkolwiek im się po-
doba. Z pasków bowiem można two-
rzyć wiele efektowne kombinacje.

TANIO i ŁADNIE



PRZEZ ZADYMIONE SZKIEŁKO

